Po konfiskacie nakład drugi.

Rok 1900. Lwów, 14. października. Nr 53.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * **Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. II.**

Treść Nr. 53:

Od wydawnictwa.

Biuro Redakcyi i Administracyi „TYGODNIKA NARODOWEGO" znajduje się od dnia 16. października w domu przy **ul. Wałowej pod L. II.**

Od Redakcyi.

Z najbliższym numerem rozpoczniemy druk oryginalnej, na zamówienie „Tygodnika Narodowego" napisanej powieści pod tytułem:

„Przez ciernie i głogi"

przez **Dra Kazimierza Rakowskiego,** autora cenionego dzieła „Powstanie poznańskie w r. 1848", jak niemniej odznaczonego na konkursie krajowym dramatu.

Powieść **„Przez ciernie i głogi"** zainteresować musi każdego, w niej bowiem zamierza autor, dobrze obeznany z politycznem życiem zaboru pruskiego, odzwierciedlić walkę polityczną o utrzymanie narodowości. Będzie to więc **powieść polityczna,** do której dostarczą wątku wypadki ostatnich czasów. Ujrzymy w niej rozkładową robotę komisyi kolonizacyjnej i znieprawienie jednostek i młodzież rwącą się do życia — i nędzę ekonomiczną, która trapi rzemieślnika — i postaci z rozmaitych warstw na wychodźctwie.

„Przez ciernie i głogi" — to historya młodego syna obywatelskiego, który, będąc niejako wyobrazicielem starych naszych społecznych stosunków, zmuszony jest szukać kawałka chleba wśród obcych, a tam, przeszedłszy cały szereg prób, na jakie los wystawia człowieka, wraca do kraju, wyszedłszy z nich zwycięzko, — wraca przetrawiony, przekształcony, silny i pewny, aby, jako wyobraziciel nowego pokolenia, stanąć przy sztandarze narodowym — i zwyciężać.

Przez te „ciernie i głogi" przejdzie z czasem całe nasze społeczeństwo.

Biskupstwo w Czerniowcach.

Ze wszystkich kresów dawnej Rzeczypospolitej naszej najmniej popularną w społeczeństwie polskiem jest Bukowina i jej dzieje. Badacze naszej przeszłości zajmują się nią mało i nie posiadamy dotychczas całokształtu historycznej pracy, któraby wyjaśniła stosunki polityczne i społeczne, jakie ojczyznę naszą łączyły z tym krajem. Natomiast urzędowi dziejopisowie rumuńscy i niemieccy dyletanci nauki na Bukowinie kują corocznie nowe rozprawy, mające na celu, przedstawić Bukowinę, jako kraj od wieków rdzennie rumuński, względnie, jako oazę kultury niemieckiej na dalekim wschodzie, jako pogranicze, gdzie niemieckie rycerstwo wznosiło zamki i broniło cywilizacyi europejskiej przed nawałą pogańską!

Tego rodzaju fałsze — nieodparte dostatecznie — mają ten skutek, że nawet ze strony polskiej można niejednokrotnie słyszeć twierdzenie, jakoby Bukowina była nam obcym zupełnie krajem, do którego ani historycznie, ani narodowo żadnych praw nie posiadamy. Fałsze te mają jeszcze i ten wynik, iż przy poparciu rządu odwieczna ta, kresowa dziedzina Kazimierzowska, gdzie ruiny zamków Cecyny i Suczawy świadczą dotychczas o polskich swych twórcach, staje się coraz silniejszą oazą germanizmu na krańcach ziem polskich, germanizmu, co podobnie, jak Biała, wciska się w nasz organizm i zatruwa stopniowo.

A odbywa się to nietylko na szkodę praw naszych dziejowych i faktycznych stosunków, ale, na dobitkę, odbywa się — za nasze własne pieniądze!

Świeżym przykładem tego zaboru są gorączkowe starania, jakie czynią od pewnego czasu Niemcy bukowińscy o to, iżby rzymsko-katolickie parafie na Bukowinie wyłączyć z archidyecezyi lwowskiej i otworzyć z nich samoistne biskupstwo niemieckie. Znamieniem tej agitacyi jest fakt, iż zapoczątkowało ją stowarzyszenie tz. „Niemców chrześciańskich" w Czerniowcach, instytucya pod względem udziału członków przeważnie złożona z protestantów, którzy naraz rozgorzeli niezwykłą dbałością o sprawy kościoła katolickiego na Bukowinie!

Wobec faktu, że cała Bukowina posiada zaledwie dwa małe dekanaty katolickie, a przeważną część parafij stanowią właściwie kapelanie i ubożuchne ekspozytury, sami inicyatorowie odczuwali trudność urzeczywistnienia projektu i początkowo domagali się, ażeby do biskupstwa czerniowieckiego przyłączono także dekanaty pokuckie w Galicyi. Gdy jednakże to natrafiło na opór ze strony miarodajnych czynników galicyjskich, zmienili wniosek i w tej chwili żądają już otwarcie, iżby dla samej Bukowiny kreowano biskupstwo. Odnośny wniosek w formie obszernego memoryału przesłał właśnie ministerstwu wyznań, bukowiński prezydent kraju, a że wniosek będzie mile widzianym w Wiedniu, o tem chyba nikt nie wątpi, komu znanemi są intencye rządowych sfer tamtejszych.

Wnioskodawcy, oczywiście, mają na myśli biskupstwo niemieckie i nawet upatrzyli sobie kandydata na stolicę biskupią, — jak nas zapewniają — w osobie ks. hr. Coloredo-Mels, kanonika kapituły w Linzu.

Gdy się zważy, że parafie rzymsko-katolickie na Bukowinie składają się bądź wyłącznie, bądź przeważnie z ludności polskiej, — to nietrudno odgadnąć, iż wniosek rządu bukowińskiego zmierza wprost do umocnienia niemieckiego żywiołu kosztem Polaków, że zmierza po-

prostu do zniemczenia polskich wyznawców katolicyzmu. Wszelkie inne motywy nie wytrzymują krytyki bezstronnej, ani bowiem liczba parafij nie usprawiedliwia potrzeby odrębnej dyecezyi, ani też odległość siedziby lwowskiego konsystorza — w czasach tak bardzo ułatwionej komunikacyi — nie może być podawaną za przeszkodę w należytem administrowaniu bukowińskich spraw kościelnych.

A co najciekawsza, to, że ów najświeższy zamach na społeczeństwo nasze na Bukowinie, radby dokonać się kosztem Galicyi, wiadomo bowiem, że kraj Bukowina nie posiada własnego, katolickiego funduszu religijnego i tamtejsze parafie otrzymują dotacye z religijnego funduszu galicyjskiego; biskupstwo czerniowieckie brałoby również swe utrzymanie z funduszów dzisiejszego lwowskiego arcybiskupstwa.

Z niepojętym spokojem spogląda Galicya na stopniowe wypieranie i wynaradawianie Polaków na Bukowinie. Ośmiela to wrogów i obojętność naszą wyzyskują już do syta w szkole, w urzędzie, w życiu publicznem... Dzisiaj pragną kościół uczynić narzędziem swej roboty eksterminacyjnej.

Czyż i na to pozwolimy?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sejmy krajowe.

Niepewna sytuacya wewnętrzna w Austryi odbija się fatalnie na sprawach ekonomicznych w poszczególnych krajach monarchii. Rząd do tej chwili nie zdecydował się jeszcze, ażali ma zwołać Sejmy krajowe na sesyę jesienną. Obawę budzi Sejm czeski, w którym z całą siłą może wybuchnąć waśń czesko-niemiecka. Niemcy czescy z tego powodu nie chcą zwołania Sejmu.

Galicya znalazłaby się w trudnem położeniu, gdyby Sejmu nie zwołano. Tegoroczny budżet uregulowano nadwyżkami z lat poprzednich w wysokości 515.000 koron, oraz podniesieniem dodatków do podatków o 5 ct.; na rok następny niedobór nie ma już pokrycia, albowiem Rada państwa nie załatwiła sprawy dodatku wódczanego, który miał wzmocnić finanse krajowe. Niedobór trzeba więc będzie pokryć pożyczką, bo nowe podwyższenie podatku jest już niemożliwem. Ale i z tą pożyczką trudność niemała, jeżeli Sejm nie będzie zwołany.

Ruch wyborczy w Galicyi.

Wielkie nadzieje żywią socyaliści, którzy w rozmaitych kuryach Galicyi, a przeważnie w kuryi V. desygnowali aż 13 kandydatów. Z uwagi na głoszoną pompatycznie narodową cechę polskiego socyalizmu, zasługuje na zanotowanie fakt, iż zaraz po szumnym manifeście, pełnym patryotycznych frazesów, ci sami polscy socyaliści połączyli się z socyalistami ruskimi i listę kandydatów układali wspólnie, godząc się na wybór takich przyjaciół narodowości polskiej, jak np. dr. Jarosiewicz z Wiednia, lub dr. Hankiewicz ze Lwowa. Sojusz ten dowodzi raz jeszcze, że kierownicy partyi socyalistycznej w Galicyi używają maski patryotyzmu jedynie dla bałamucenia społeczeństwa, ale zrzucają ją natychmiast, skoro tylko rozchodzi się o praktyczne cele kosmopolityczne.

Niemniej buńczucznie gotują się do wyborów Rusini, zresztą niewszędzie jeszcze zgodni pomiędzy sobą. Pragną oni mieć, ni mniej, ni więcej, jeno 20 swych posłów w nowej Izbie. Tak oto, niezgoda wśród frakcyj polskich, a zwłaszcza w obozie demokratycznym, jako pierwszy skutek, przynosi nam rozwielmożnienie się Rusinów i socyalistów, którzy umieją korzystać z osłabienia sił polskich.

Były prezes wyborczego komitetu centralnego i jeden z głównych kierowników polityki Koła polskiego w Wiedniu, hr. Wojciech Dzieduszycki, stawał przed swymi wyborcami z posiadłości wielkich w Stanisławowie 10. b. m. Sejmik ten był ciekawym nie tyle ze względu na mowę hr. Dzieduszyckiego, który powtarzał znane już argumenta na korzyść polityki Koła, — ile raczej z uwagi, iż po raz może pierwszy ze strony wiejskiego naszego obywatelstwa objawiono pewien rodzaj niezadowolenia z działalności tego Koła.

Najotwarciej wystąpił z krytyką p. Stanisław Bohdanowicz z Petryłowa, który poruszył piekącą sprawę regulacyi rzek galicyjskich. Czynił on równie gorżkie, jak słuszne wyrzuty Kołu za zaniedbywanie tej sprawy, chociaż, stojąc często u steru spraw państwowych, mogło ją było dawno załatwić pomyślnie. Zebranie poparło te słowa i wyraziło energiczne żądanie, aby Koło raz już doprowadziło sprawę regulacyi rzek do urzeczywistnienia. — Inni mowcy, jak pp. Brykczyński, Vivien i ks. Piaskiewicz wytykali również, że Koło polskie nie wyzyskuje swej, dominującej pozycyi w Wiedniu i zaniedbuje sprawy ekonomiczne kraju. P. Dzieduszyckiemu uchwalono wotum zaufania, ale proszono go, ażeby po każdej sesyi parlamentarnej składał relacye ze swej działalności.

Ruch wyborczy Polaków na Śląsku.

W tych dniach odbył się w Cieszynie zjazd mężów zaufania, Polaków, z całego księstwa, celem wyboru komitetu, który ma zaproponować kandydata polskiego z IV. kuryi. Przy tej okazyi pokazało się, że wśród Polaków śląskich coraz więcej przeważa przekonanie, iż zawarty przed laty sojusz polityczny z Czechami śląskimi jest dla nich szkodliwym, albowiem Czesi wyzyskują go dla wynaradawiania polskiego ludu i ukrócania naszych praw narodowych. Zarazem wyłoniła się silna opozycya przeciwko polityce Koła polskiego w Wiedniu, które zaniedbywało kresy, a już zwłaszcza sprawy Polaków śląskich. Dlatego też większość wybranego komitetu nie życzy już sobie, ażeby wybrać się mający poseł wstąpił do Koła polskiego.

Dziwną wydaje się nam uchwała, mocą której postanowiono nie zajmować się wyborami z kuryi V-tej i pozostawić tę sprawę samym robotnikom. Znaczy to, wydać polskich robotników na łup socyalizmu bez żadnego protestu! Gdybyż jeszcze kandydatem w tej kuryi był socyalista Polak, możnaby uchwałę zjazdu tłumaczyć przynajmniej pozorami. Ale socyaliści „galicyjsko-śląscy“ postawili tam ponownie kandydaturę Niemca, Cingra, manifestując swą cechę narodową ustępstwami dla Rusinów w Galicyi, a dla Niemców na Śląsku!

Krok powyższy komitetu śląskiego wygląda tak, jak gdyby albo obawiano się walki z socyalizmem, albo — zawiązano z nim cichy sojusz. Jedno i drugie — dość smutne.

Z Bukowiny.

Skutkiem skonu śp. Stefana Stefanowicza opróżniły się mandaty poselskie po nim, a to do Rady państwa i do Sejmu. Obadwa mandaty, na mocy kompromisu, zawartego między obozami rumuńskim i ormiańsko-polskim, należą do tego ostatniego stronnictwa i ono też desygnować będzie kandydatów. Do Rady państwa wymieniają już kandydatów aż kilku, jak pp.: Krzysztofa Abrahamowicza, Antoniego Kochanowskiego, syna, Adolfa Wiesiołowskiego i i., atoli na razie są to tylko propozycye kół prywatnych, albowiem o wyborze kandydata zadecyduje komitet wyborczy kuryi wielkiej własności stronnictwa ormiańsko-polskiego, któremu przewodniczy p. Grzegorz Bohdanowicz.

O kandydatach do Sejmu dotychczas mało słychać. Mówią wprawdzie, jakoby zamierzał kandydować radca sądowy p. Donigiewicz z Czerniowiec, ale jest to tylko kombinacya dowolna osobistych przyjaciół kandydata, nie mająca za sobą opinii ogółu.

Wobec faktu, że komitet wyborczy ormiańsko-polski, pod kierownictwem p. Grzegorza Bohdanowicza działa dotychczas w porozumieniu z Kołem polskiem na Bukowinie, jest nadzieja, że do Sejmu nie wejdzie poseł, któryby nie stał na gruncie narodowym, a wszelkie zakusy, pragnące wprowadzić kandydatów zniemczałych, nie odniosą skutku.

Z Chin.

Bardzo trudno wytworzyć sobie obraz sytuacyi w Chinach, mimo bowiem przywrócenia komunikacyi, bałamutnym wiadomościom niema końca. Faktem jest, że pomiędzy mocarstwami dotychczas jeszcze nie porozumiano się, co do warunków pokojowych i kto wie, ażali ta sprawa, stosownie do wniosku Stanów Zjednoczonych, nie będzie musiała być załatwioną przez sąd rozjemczy w Hadze.

Hr. Waldersse tymczasem prowadzi dalej pacyfikacyą w prowincyi Peczili. Władze chińskie poddały mu się, ale zarządzenia „żandarma Europy“ (jak zowią hrabiego), nie podobają się niektórym mocarstwom. Ma on mianowicie protegować tylko interesy Niemiec i Rosyi, a natomiast usuwa Anglików od wszelkiego wpływu na wypadki wojenne. W Anglii z tego powodu panuje rozgoryczenie niemałe.

Drobne utarczki z bokserami nie ustają. Tymczasem na dworze chińskim przyszedł podobno do władzy sam cesarz i wydaje edykty, orzekające surowe kary na zwolenników powstania. Kary takie orzeczono nawet na ks. Tuana i wielu znakomitych mandarynów. Cesarzowa podobno jest chorą. Ale to wszystko — „podobno“, bo jutro mogą nadejść wiadomości wręcz odmienne.

Handel terminowy produktami rolniczemi.

Fikcyjna sprzedaż i pozorne kupno zboża stało się od lat szeregu przedmiotem handlu, który powołał do życia specyalne giełdy i wpływając na ceny produktów rolniczych, wytworzył dla rolników sytuacyę niezmiernie trudną. Dzisiaj właściwie nie urodzaj, lub podaż rze-

czywistego produktu, ale giełda fikcyjnego handlu, stanowi o cenach zboża. Od dłuższego też czasu rolnicy wszystkich krajów domagają się zniesienia, a przynajmniej uregulowania handlu terminowego na giełdach. W Niemczech rząd uczynił zadość temu żądaniu i zniósł ów handel; w Austryi jednak dopiero obecnie rząd przystąpił do studyów nad tą sprawą i dla gruntowniejszego jej zbadania, zwołał ankietę z przedstawicieli sfer interesowanych i ludzi nauki. Ankieta miała na celu, nie powziąć uchwały, ale zebrać opinie poszczególnych jednostek i kół, ażeby następnie rząd łatwiej mógł wytworzyć sobie obraz całej sytuacyi.

Jeżeli jednak na tych opiniach rząd zechce się oprzeć, to będzie miał nielada trudne zadanie, albowiem są one bardzo sprzeczne ze sobą. Tak np. ekspert Schwitzer z Czech, oświadczył się za handlem terminowym wogóle, a nawet ubolewał, że giełda nie przyjęła jęczmienia do swej spekulacyi. Natomiast ekspert Führich wystąpił stanowczo przeciw giełdzie, bo ona wyrywa towar z pod wpływu producenta i konsumenta, a oddaje go na pastwę spekulacyi. Za handlem terminowym oświadczyli się jeszcze eksperci: Schick, Juraschek, a z pewnemi zastrzeżeniami także Resch z Krakowa. Natomiast członek komisyi, Metall, dowodził, że jest to wprost kwestya żywotna dla rolnictwa, ażeby „zboże na papierze“ nie wywoływało nagłych spadków cen. P. Metall poruszył pytanie, ażali handlu terminowego nie możnaby zastąpić sprzedażą rzeczywistą z rozmaitemi terminami dostawy. Mówca ten zresztą oświadczył się, jako zwolennik giełdy zbożowej, ale zarazem, jako stanowczy przeciwnik gry giełdowej, która nie jest właściwie handlem terminowym, lecz grą na dyferencyę cen zboża, często sztucznie wywołanych.

Dłuższy wywód naukowy o handlu terminowym, wygłosił prof. dr. Głąbiński ze Lwowa, który też bronił rolników galicyjskich przed zarzutami niektórych ekspertów, co twierdzili, jakoby zboże, kupione w Galicyi, nigdy nie miało umówionej wagi.

Z przebiegu dyskusyi można wnioskować, że większość ekspertów nie pragnie zniesienia handlu terminowego, a tylko jego uregulowania.

Watykan i Austrya.

Hasło „Los von Rom“ w Austryi, oraz prześladowanie mniejszości narodowych w Węgrzech wpłynęły na to, że Stolica Apostolska zajęła otwarcie nieprzyjazne stanowisko wobec Austro-Węgier i temu stanowisku dała wyraz przez usta samego Leona XIII. W ostatnich dniach aż dwukrotnie znalazł papież sposobność do wypowiedzenia wcale surowej krytyki o sprawach austro-węgierskich, a słowa jego poważne sprawiły wrażenie wśród ludów monarchii.

Skonfiskowane.

Prawie równocześnie Leon XIII. przy innej audyencyi przesłał swe upomnienie pod adresem Austryi. Wypadek ten zasługuje na uwagę. Oto salcburcka „Kirchen Ztg.“, urzędowy organ kościelny, donosi: „Dnia 31. września arcyksiężna i wielka księżna toskańska Alicya z córkami: Anną, Małgorzatą i Germaną, przyjmowane były w prywatnej audyencyi przez Ojca św., która trwała prawie trzy kwadranse.

„Arcyksiężniczki udały się incognito do Rzymu dla otrzymania odpustu jubileuszowego. Na początku audyencyi rozmawiał Ojciec św. z arcyksiężniczkami o sprawie katolickiej wszechnicy w Salcburgu. Z rozmowy dalszej o stosunkach austryackich pokazało się, że Papież był o wszystkiem dokładnie poinformowany. Określił on stosunki austryackie, jako bardzo smutne. A z żywością, prawię niepojętą w tak sędziwym wieku, omawiał Jego Świątobliwość bojaźń ludzi i tchórzowstwo („Feigheit“) wysoko postawionych i bardzo wpływowych osobistości, łącząc je jak najściślej z temi smutnemi stosunkami. Gdy arcyksiężniczka Anna prosiła na kolanach Ojca św. o błogosławieństwo dla wszystkich dobrodziejów, znajomych i przyjaciół, mówił Papież: „Słuchaj, córko! Idź i nieś moje błogosławieństwo tym, którym chcesz je dać i powiedz im: Ojciec św. dał mi błogosławieństwo dla ciebie“. Przy pożegnaniu wypowiedział Papież słowa: „Idźcie i oznajmijcie światu, że są jeszcze katolickie księżniczki, które mają odwagę odwiedzić Ojca św.“.

Ostatnie słowa wskazują, że „Kirchenzeitung“ otrzymała informacyę wprost od wielkiej księżny toskańskiej.

Wystawy sadownicze.

Wystawy i targi owocowe odbyły się niemal równocześnie we Lwowie, w Warszawie, Tarnowie i w Krakowie. Znak to, że sadownictwo i ogrodnictwo czyni u nas postępy coraz większe i że publiczność nauczyła się cenić znaczenie tej gałęzi gospodarstwa.

O lwowskiej wystawie sadowniczej pisaliśmy już pokrótce w poprzednim zeszycie „Tygodnika“. Naogół wypadła dobrze, a udział 150 wystawców świadczy o stopniowym rozwoju działań Towarzystwa sadowniczego. W liczbie wystawców znajdowali się nietylko ludzie, znani już z wybitnej na tem polu działalności, ale i drobni gospodarze rolni, oraz gminy wiejskie, co uważamy za fakt bardzo pocieszający.

Nagród rozdano mnóstwo. Wymienimy przynajmniej większe, zaznaczając naprzód, że poza konkursem stali pp.: Kazimierz Piątkowski, Szkoła ogrodnicza w Tarnowie, Ogród botaniczny w Dublanach, Winnicki ze Switazowa i prof. Janelli z Krasnej. — Dyplom honorowy za prace około podniesienia ogrodnictwa w kraju otrzymali panowie: Maciaszek, dyr. szk. tarnowskiej (*ad personam*), oraz Kazimierz Piątkowski ze Lwowa za też same zasługi. — D y p l o m u z n a n i a otrzymał p. Stanisław Piątkowski ze Lwowa. — W i e l k i m e d a l z ł o t y otrzymali pp.: dr. Jan Pawlikowski z Medyki, za owoce, Jan Muszyński ze Lwowa za własnego wyrobu nalewki. — M a ł y m e d a l z ł o t y: hr. Roman Potocki z Łańcuta, za owoce; za tot samo: br. Brunicki z Podhorzec, br. Brückman z Manasterca, Antoni Klimowicz ze Lwowa, Stefan Moysa z Rudnik, dalej Emil Mentzel z Dublan za nalewki i Stan. Górski około rozwinięcia spółki owocarskiej w Nadwórnie, za zasługi około podniesienia sadownictwa Konarski z Medyki. — M e d a l s r e b r n y w i e l k i za owoce: nauczyciel Smalec z Tarnowa, naucz. Szarek z Dąbia pod Krakowem, Stefański z Kołomyi, radca Błoński ze Lwowa, hr. Lanckoroński z Rozdołu, ks. Sapieha ze Lwowa, Ignacy Kupetz z Przemyśla; za szkółki drzewek owocowych: hr. Potocki z Łańcuta, bar. Brunicki z Podhorzec, Antoni Klimowicz ze Lwowa i Mikołaj Woliński ze Lwowa; za zasługi około podniesienia sadownictwa: Robinson z Drohowyża, Ackerman ze Lwowa, Hugendorf z Krysowic, „Spółka owocarska w Nadwórnie“ za zbiór nalewek i przetworów owocowych; hr. Stadnicki z Krysowic za owoce. — M e d a l s r e b r n y m a ł y: Zakład Skarbka w Drohowyżu, Jan Klimowicz ze Lwowa (za winogrona), „Sp. owocarska w Nadwórnie“ (za zbiór owoców 6 odmian, dających danej okolicy największy dochód), Skrzyński ze Żurawna; za szkółki: hr. Lanckoroński, dr. Pawlikowski z Medyki; za zasługi około podniesienia sadownictwa: nauczyciel Kowalski z Malechowa, Józef Szychowski ze Lwowa, Jan Marcinków ze Sołotwiny mizuńskiej za plany.

We czwartek znowu otwarto w Krakowie targ owoców, w celu zaznajomienia publiczności z doborowemi owocami naszego kraju. Wystawcami (20) byli księża, dwory okoliczne i nauczyciele. Równocześnie z targiem odbywały się wykłady popularne o owocarstwie i o ogrodnictwie.

Najwięcej jednak pożytku dla sprawy sadownictwa przyniesie niewątpliwie wystawa, zamknięta ubiegłej niedzieli w Warszawie, albowiem w czasie jej trwania odbyło się kilka narad, z hodowlą owoców mających związek, a które zawarły w sobie niemało pożytecznych spostrzeżeń i wyników pracy ogrodniczej. Dla ogółu czytelników naszych, a zwłaszcza dla ziemian, największą doniosłość ma niewątpliwie ułożenie poprawionego d o b o r u n o r m a l n e g o owoców. Jest to spis tych odmian, które rzeczoznawcy po wzajemnem porozumieniu się i ścisłem naradzeniu, polecać mogą do ogólnej hodowli w kraju naszym.

Dobór ma niewątpliwie wartość znakomicie większą, niż te, które go poprzedziły. Jest on uzupełnionem i poprawionem wydaniem, które każdy mający z sadami, lub owocami do czynienia, znać powinien. Dlatego też pomimo, iż rzecz ta jest specyalna, nie wahamy się zająć nią czytelników. Właściwie nie należy jej czytać, ale należy ją przepisać i zachować pomiędzy cennemi dokumentami. Nie ulega bowiem wątpliwości, że odmiany te głównie będą odtąd w szkółkach rozmnażane, opanują sady i rynek nasz, że nareszcie będziemy je w przyszłości wywozili na rynki obce, które do nas coraz częściej zwracają się, zwłaszcza z zapotrzebowaniem jabłek.

Trzeba jeszcze i to dodać, że odmiany w doborze pomienione, są owocoznawcom naszym znane doskonale i wypróbowane wielostronnie.

W nowym tedy doborze normalnym znajdują się następujące odmiany: G r u s z k i. Bergamotka jesienna (B-tte rouge): Amanlisa, U r b a n i s t k a (B-ré Coloma), Hardy, D o b r a L u d w i k a, Skórzana (Colmar Nélis), D i u s z e s a w c z e s n a, (Dr. Jules Guyot) Esperyna, Flamandka (Fondante de bois — tylko na ziemie wapienne i pulchne, gdzie nie podlega grzyb-

kowi), Dobra szara, Marya Ludwika, Patawinka (Nouveau Poiteau), Pomarańczówka (w małej ilości), Salibury, Winiówka francuska, Ananasówka francuska (Ananas de Courtray), Kongresówka (Souvenir de Congrés), Lyońska (Duble Philippe), Lukasówka (Aleksander Lucas), Proboszczówka (de Curé), Hardenponta, Józefinka (Joséphine de Malines), Faworytka (Clapp's Favorite), Ulmska, Komisówka (Doyenné du Comice — mało rodzi w suchych ziemiach), Lektyera, Williamsa (w zacisznych sadach), Bauska (Bausker Butterbirn), Pstrągówka zimowa (Winter Forellenbirn), Karol Ernest (gdzie nie bywa grzybków), Lichnowski, Królewna (Przedziałka — na wyroby cukiernicze i kuchenne wyborna), Ananasówka polska.

Jabłka. Grochówka (Grosser Bohnapfel), Bojkena, Charłamówka, Oberlandzkie (Himbeerapfel Oberländer), Aport (na stanowiska suchsze, gdzie owoce nie gniją), Kantówka gdańska (gdzie nie bywa grzybka), Królowa renet, Pepina Elkofa, książęce (Prinzenapfel), Baumana Kaselskie (Rtte Casseler grosse), Landsberskie, Antoniówka i A. Kamienna, Strumiłłówka (Sierinka), Glogierówka (nie na ziemie suche w podgruncie, raczej na łżejsze), Oberdiecka, Kardynalskie (Pleisner Rambeur — kompotowe), Głogowka (Hawshorndon, ogromnie płodne, kompotowe), Kasztela, Kuzynek, cz. Kalwinka (Purpurrother Cousinot). Kulona (Rtte Coulon), Koksa (Cox Orange, w ziemiach żyznych), Kronselskie (Transparente de Croncels), Żeleźniak (Eiserapfel — późno zaczyna rodzić).

Śliwki. Anna Späth, Włoska (Fellemberg), Renkloda zielona, Kirka, Cesarska (Rothe Kaiserpflaume), Washington, Wiktorya, Ulena, Althana, Maforcka (de Montfort), Jefferson, Denbigh (czyt.: Denbaj), Edynburska (Duke of Edinburgh), Mirabelka (Mirabelle jaune — kompoty), Jajowa żółta (Dame Aubert jaune — na kompoty).

Czereśnie. Miodówka (Krolla), Froma, Piramidalna (Büttnera), Czarna późna (Bigarreau noir tardif), Marmurkowa wczesna, Różowa miękka i Różowa wielka (Flamentiner), Ohio, Woskowa cz. Kanarkowa, Kamionka (Dönisse's gelbe), Olbrzymka (Napoleona).

Wiśnie. Książęca (May Duke), Szklanka (Gros Gobet), Łutówka, Osthajmka, Hiszpanka wczesna i późna, Hortensya (w ziemiach lżejszech).

Dobór ten był wystawiony już na wystawie w okazych.

Wydrukowane rozstawionem pismem owocoznawcy polecili do sadów handlowych, t. j. zakładanych niewielu odmianami, lecz w znacznej ilości drzew, z przeznaczeniem owoców na wywóz do miast bliższych, lub nawet na odległe rynki. Nie potrzebujemy mówić, że ta ostatnia lista była układana ze szczególną oględnością i starannością, z uwagi na niezmierną jej doniosłość dla owocarstwa krajowego. Ułożono też dobory dla małej własności, na piaski, ziemie torfowe i t. p., lecz tych już na tem miejscu wyliczać nie możemy.

Na drogi zalecono tylko czereśnie (Czarna późna), a w gorszych ziemiach wiśnie prosto rosnące. Na obsadzenie dróg drzewami ziarnkowemi jeszcze nie pora; trzeba wpierw zaopatrzyć w owoce włościan i oduczyć ludzi od uszkadzania drzew przydrożnych, czego dokonać może tylko dobra szkoła.

Walenty Ćwik.

Pod wspólną mogiłą.

Mortui vivunt memoria vivorum.
Cic. Philip. IX.

Spełnili swe posłannictwo... złożyli życie na ołtarzu ojczyzny... wiatr rozwiewa ich prochy... umarli winni żyć wspomnieniem żyjących...

Oto myśli, jakie nasuwają się nam, ilekroć razy przejeżdżając przez tarnowską stacyę, skierujemy wzrok ku położonemu tuż u stóp toru kolejowego cmentarzysku. Mały kawałek ziemi, przeznaczony na szczątki mieszkańców Leliwitów gniazdą, skromna, niepokaźna powierzchowność jego, lecz ta zielona murawa, deptana stopami przechodniów, to zwierzchnia szata, kryjąca popioły ofiar wiekowych zapasów i cierpień narodu, ten proch, to proch bohaterów w imię hasła: Za naszą wolność i waszą...

Nierychło znajdzie się drugie cmentarzysko, porosłe tak gęsto mogiłami, związanemi wspomnieniem z kilku epokami naszej przeszłości dziejowej.

Wchodzimy przez bramę do wnętrza murów, okalających przybytek wiecznego spoczynku i spotykamy po lewej stronie resztki grobowego kamienia, z napisem błędnym, położonym widocznie później, na tylnej stronie pomnika: *„Mariae Annae de Principibus Lubomirski consorti Radziwiłł, posu. hoc monumentum huius in Wozownia Joannes Potocki“.*

Jestto ponoś najstarszy głaz tarnowskiego cmentarza.

Dążąc w głąb obmurowania, pomijamy grobowiec tarnowskich książąt kościoła, kaplicę panów na Tarnowie, szereg obelisków, dzieł nowoczesnej sztuki kamieniarskiej i stajemy przed okazałym monumentem, przedstawiającym skutą kajdanami, pełną cierpień niewiastę — Polskę, obejmującą ramiony medalion poważnego męża. — U spodu widnieje napis: D. O. M. Popioły Rufina Piotrowskiego, żołnierza z korpusu Dwernickiego, wygnańca na Sybir, tułacza, nauczyciela w szkole Batyniolskiej, autora: „Pamiętników z pobytu na Syberyi“, męża, którego życie całe było wzorem poświęceń za ojczyznę, urodzonego 1806 w Malinie na Ukrainie, zmarłego 20. lipca 1872 w Tarnowie, pomnikiem tym uczcił polski naród. — *Fecit A. Kurzawa. Sculpsit Wł. Eliasz“.*

Monument ten, to zda się, kresowa straż popiołów ofiar bratobójczych zbrodni r. 1846. Jak wiadomo, był Tarnów, były tegoż okolice widownią najpotworniejszych scen rzezi i pożogi, a liczne zastępy pomordowanych i przewiezionych przez chłopów, lub zmarłych później wskutek ran i cierpień, spoczęły na tarnowskim cmentarzu. — Ówczesne zapiski magistratu przemilczają nazwiska ofiar, parafia przy dwóch tylko: Kotarskim i Starzyńskim, podała przyczynę skonu, a gdy w dodatku przekopano po kilkakroć kurhany nieszczęśliwych, nie pozostał nawet ślad ich grobów, imiona zaś wygasły w pamięci potomnych. — Przechowała się jedynie grobowa płyta, z napisem: „D. O. M Tu spoczywa Karol Kotarski w 54 roku życia swego, dnia 20. lutego 1846 r. Pozostała rodzina i dzieci najlepszemu ojcu“, okolona żelazną kratą, ocieniona krzakami polnej róży, szkoda, iż nie utrzymana przez potomków w lepszym nieco stanie.

Odmiennie od zanikłych grobów z czasów lutowej rzezi, przedstawia się oku widza wyniosły kurhan, kryjący zwłoki poległych w powstaniu r. 1863. Nie bez trudności udało się przewieść pokryjomo przez granicę poległych kilku ziomków, również nieco rannych, pielęgnowanych później w tarnowskim szpitalu, a gdy z biegiem lat i inni uczestnicy styczniowego ruchu ułożyli w Tarnowie głowy do snu wiecznego, urosła na cmentarzu wspólna, spora mogiła, wzgórek z kamiennych brył, głazów, uwieńczonych na szczycie żelaznym krzyżem, z cierniową koroną i laurowym wieńcem. — Na frontowej ścianie mogiły widnieje herb Polski, Litwy i Rusi i napis: „1863 Poległym za Ojczyznę“, na ścianach głazów nazwiska poległych i zmarłych.

Przekazujemy je w tem miejscu pamięci potomnych:

Witold Bocheński z Lublina, poległ 1. kwietnia 1863.

Władysław Gniewosz z Lublina, umarł z ran 29. lipca 1871 w Tarnowie.

Karol Tabaczyński, poległ 19. marca 1863 pod Grochowiskami.

Aleksander Ruczka z Wiśnicza, umarł z ran 29. marca 1863.

Władysław Sobolewski z Potomierza, poległ 13. marca 1863 r. pod Grochowiskami.

Michał Ogorzały ze Starego Sącza, umarł z ran 11. lipca 1863 pod Gaczami.

Faustyn Lipiński z Gwiazdowa, poległ 19. marca 1863 pod Grochowiskami.

Józef Kowalski, zginął pod Małogoszczą 1863 w 17 r. życia.

Franciszek Balko Pilawicini, syn, zginął pod Miechowem 17. lutego 1863 r., ojciec, z ran w Tarnowie dnia 8. maja 1868 r.

Oswald Artwiński z Tarnowa, zginął 14. maja 1863 pod Giebułtowem.

Józef Szeligiewicz, zginął pod Igołomią 3. maja 1863.

Władysław Pragłowski z Ropczyc, poległ 20. czerwca 1863 pod Komarowem.

Józef Tatomir, żołnierz oddziałów wołyńskich z r. 1863, ur. 1836 umarł 1. lutego 1892.

Józef Rogoziński z Posławic, poległ 2. kwietnia 1863 pod Buskiem.

Tadeusz Leon Korwin Pawłowski, żołnierz z r. 1863, kupiec, członek Wydziału kasy oszczędności i Towarzystwa zaliczkowego, ur. w Skrihyczynie 1836, zmarł w Tarnowie 11. kwietnia 1892.

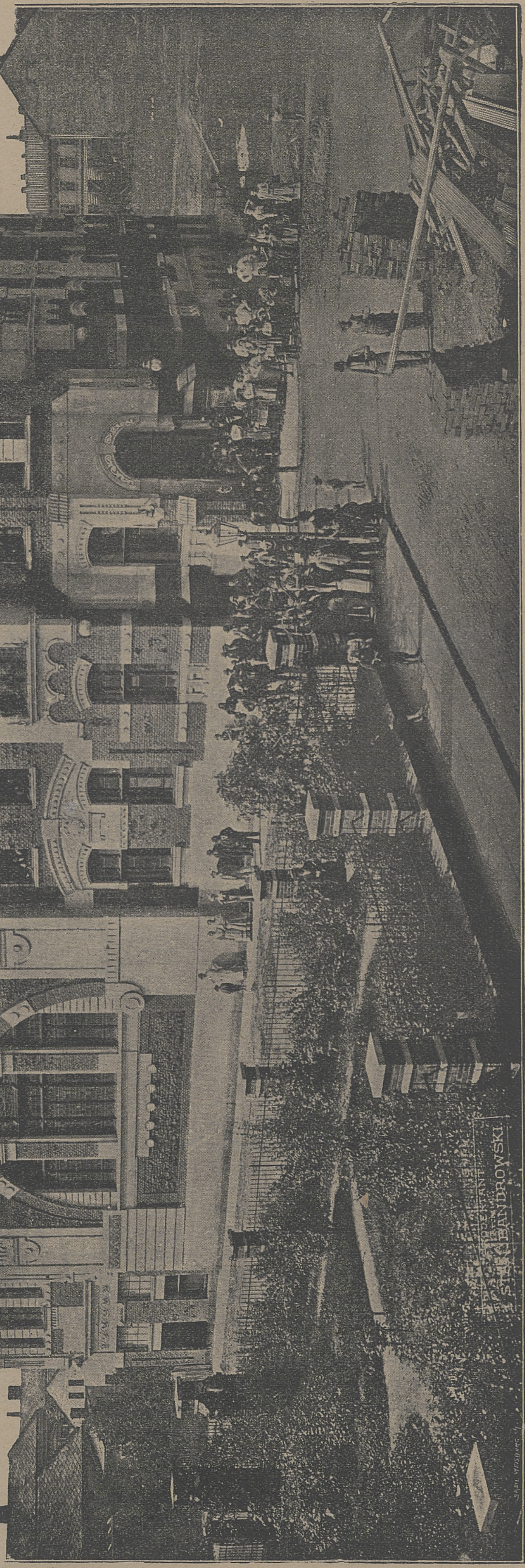
Walery, Dominik dw. im. Dulęba, poległ w powstaniu polskiem pod Panasówką 3. września 1863.

Ignacy Teliga, właściciel dóbr ziemskich, obywatel miasta Tarnowa, oficer wojsk polskich z 1831 roku, urodzony r. 1810 we wsi Bielnicy w województwie Sandomierskiem, zmarł 9. stycznia 1894 w Tarnowie.

Wojciech Piekarski z Nowego Sącza, poległ 21. czerwca 1863 pod Gaczami.

Tuż przy kurhanie poległych r. 1863, tuli się skromny krzyż, pamiątka sromotnej rzezi bezbronnych w Krożach; przy mogile ofiar z klasy średniej narodu, krzyż na cześć ofiar z szeregów biednego ludu.

I oto młodzież oddaje cześć zasłużonym, oświetla w dzień zaduszny mogiłę i krzyże, ugina kolano przed popiołami tych, których powiodła pod wspólny kurhan miłość Ojczyzny i wiara w świętość sprawy.



DOM POLSKI w MORAWSKIEJ OSTRAWIE.

K. S.

Z pobytu w Brukseli.

(*Pierwsze wrażenie. — Ozdobne domy. — Czystość i pracowitość. — Starożytności. — Muzea. — Wirtz i jego obrazy. — Licytacya produktów spożywczych. — Wszystko przez licytacyą! — Aleksander Sochaczewski. — Odwiedziny u artysty. — Jego prace i marzenia. — Przewiezienie „Sybiru“ do kraju*).

(Dokończenie).

W ogólności na Zachodzie nie zdają sobie dość jasno sprawy z tego, co się u nas i z nami dzieje: co najwyżej, wspomni ktoś o ostatniem powstaniu, rozczuli się przez grzeczność nad zesłanymi do Syberyi... Obecnego stanu rzeczy nikt nie zna, niełatwo nawet wierzą opowiadaniom. „Wszak Aleksander III. wszystkich ułaskawił!“ — odpowiadają ze zdziwieniem. Wspomnienie łask carskich długo żyje w ludzkiej pamięci!

Należy się od nas wdzięczność Sochaczewskiemu za to, że wystawił i Europie pokazał pomnik carskiej niełaski i zemsty, wywieranej bez względu na wiek i płeć, zemsty długoletniej, dotykającej nie pojedyńczych ludzi, a całą masę narodu. Gdziekolwiek obrazy jego były wystawione, uczciwa część prasy nie omieszkała systematycznego podnieść barbarzyństwa caratu.

Sochaczewski nosi się z marzeniem urządzenia panoramy, której model kartonowy widziałem. Zwiedzający ma wchodzić do kurytarza więziennego, odwiedzić więźnia w celi, dalej przyglądać się rozmaitym badaniom, praktykowanym wonczas, a i teraz podobno, wreszcie dostać się na światło dzienne już na Syberyi, przy ciężkich robotach. Panorama przedstawiałaby najrozmaitsze sceny i sytuacye, jakie zdarzyło się Sochaczewskiemu widzieć, podczas dwudziestoletniego pobytu w katordze.

Rok cały upłynął mi tak jakoś, że widując się dość często z Sochaczewskim, poznałem wysoki gatunek owoców jego ogródka, genialność jego psa, anielską dobroć jego żony, ale o dziełach jego nie miałem nawet przybliżonego pojęcia. Pewnego razu odbieram kartkę, napisaną dość nieczytelnie. Sochaczewski wzywa mię na czwartą godzinę, chcąc zasięgnąć mej rady w interesie niemałej wagi. Stawię się w oznaczonym czasie. Sochaczewski przywitał mię bardzo poważnie, miarkując nawet potężny swój głos i zwykłą poufałą serdeczność. Przeprosił mię tylko na wstępie, że nie mógł sam przyjść do mnie, z powodu odnowienia się ran, wygryzionych przez kajdany. Herbata z cytryną, po sybirsku, czekała już na werandzie. Zasiedliśmy do stolika w milczeniu. Piłem z przyjemnością, czekając aż pierwszy przemówi, on jednak nie przystępował do interesu. „Pan życzył sobie pomówić ze mną“, — zdobyłem się wreszcie na zapytanie.

Sochaczewski ociągał się trochę. „Ot, widzisz pan“, wyrzekł wreszcie, wyjmując papier z kieszeni. „Proponują mi wystawienie dwóch moich obrazów w Towarz. Zach. Sztuk Pięknych w Krakowie, podczas jubileuszu wszechnicy Jagiellońskiej. Sprowadzenie i zwrot biorą na swój koszt. Cóż pan na to? — „Ależ korzystać!“ — odrzekłem zdziwiony, że potrzeba mu mojej rady w rzeczy tak prostej. „Powiadasz pan: korzystać! Zapewne, ale widzisz pan, moich prac w kraju nie znają: z tych dwóch, o które mię proszą, nie można o mnie powziąć wyobrażenia: to są niewielkie obrazy; zobacz pan sam i osądź“. Prowadzi mię do saloniku, w którym zwykle gości nie przyjmuje. „Ranek“ i „Wieczór“ — objaśnia mi dwa obrazy, których treści nie zrozumiałem odrazu. Mieszkaliśmy w chatach daleko od żupy; śnieg bywał tak głęboki, że musiano zdejmować nam kajdany, szliśmy jeden za drugim, gęsiego.

Tu nas zakuwają po skończonej pracy, kończył, wskazując na „Wieczór“. Co to panie, po całodziennym ciężkim trudzie, w takim chłodzie, że człowiek kości nie czuje, wkładaj na dobranoc kajdany i spoczywaj“.

Obrazy wydały mi się nadzwyczaj wierne, ale ani trochę nieefektowne. Zrozumiałem łatwo, że nie zrobią Sochaczewskiemu pożądanego rozgłosu.

„Wolałbym już te dwa pokazać“ — dodał, odchylając wieko jakiegoś pudła i wydobywając bardzo efektowne płótno — „Śmierć zbiegłych“, — cóż, kiedy to do polskich uczuć nie przemówi: to są prości zbrodniarze, którzy doczekali się wiosny i uciekają z katorgi z maleństwem. Ukryli się za jakąś budkę i spoczywają. Ona, jak zwyczajnie kobieta, jeszcze kiedy ma dziecko, łudzi się, że wszystko pójdzie szczęśliwie. On wie, że nie tak, to owak zginą z chłodu, głodu, złapią ich, wydadzą sami mieszkańcy.

Tu zaskoczyła ich zamieć: patrz pan — ona już umarła z chłodu; on jej wystrugał krzyżyk ze swego kija, żeby duszy jej nie zagubić. (Oni są wszyscy nadzwyczaj religijni; najgorsi zbrodniarze, potwory moralne, żegnają się i modlą zupełnie szczerze). Teraz ucieka dalej z dzieciątkiem. Gdzieś zamrze nad rankiem, nawet mu krzyża nikt w rękę nie wetknie...

„To już znacznie lepsze“ — wyznałem mu otwarcie. — „Otóż właśnie“, przyznaję. „Ranek“, „Wieczór“ są wierną illustracyą; nie robią takiego efektu, jak śmierć z zawiei, ale ja pragnąłbym do kraju wysłać wielki mój obraz, tylko mię o ten nie proszą. Więc, jak mi pan radzi? Czy posłać im „Ranek“ i „Wieczór?“ Bo oni wiedzą o wielkim obrazie i z pism i z illustracyj, więc jeżeli proszą o te dwa, to widocznie wielkiego nie chcą“.

Nie wiedząc, co mu poradzić, zapytałem, gdzie się znajduje ów wielki obraz. Po pewnem wahaniu wyznał mi prawdę. Wówczas przyszło mi na myśl zawieźć go na własny koszt i ryzyko do Krakowa, nie zdecydowałem się jednak odrazu. Dopiero gdym go na własne oczy zobaczył, zrozumiałem wartość jego dla naszego społeczeństwa, dla młodzieży, dla historyi. Bez względu na to, czy jest artystycznie skończonym, czy nie, bije z niego prawda i siła. Ten obraz wciska się w duszę widza, mówi mu o bohaterstwie, męczeństwa, dzikości barbarzyńskiej przemocy, o wszystkich krzywdach, o walce, o zagładzie, która nam grozi. To jest pomnik pierwszorzędnego znaczenia dla narodu.

Sochaczewski nie zdradził radości, jaką mu sprawiłem, oświadczając gotowość zawiezienia jego obrazu na swój własny koszt do Krakowa. Spoważniał tylko przez chwilę, jakby się sam namyślał: „Pan tego nie pożałujesz!“ — rzekł wreszcie, podając mi szeroką muskularną prawicę.

Od tej chwili wróciła mu dawna swoboda i otwartość: „Tam w Krakowie, powiadał, zechcą porównywać mię z Matejką i rozumie się — zganią. Przecie moje „tuluby“ nie mogą iść w porównanie z aksamitami i złotogłowiem. A ja panu powiadam, że może jeszcze być drugi, trzeci i dziesiąty Matejko, co sobie najpiękniejsze sceny namaluje z wyobraźni, a taki, co widział deportacyę, tak, jak się wówczas odbywała i potrafił ją oddać na płótnie, był tylko jeden: ja. Sochaczewski. Grottger nie ma pojęcia o tem, co maluje. Toż to znać na jego obrazach: on nigdy nie widział ani Sybiru, ani zesłańców. Teraz kto chce malować sceny z wygnania, będzie musiał się odemnie uczyć. Ja jestem pierwszym prawdziwym malarzem Sybiru. Kiedyś moje prace będą miały ogromną wartość. Namalowałem to, co widziałem sam, a co już przeszło do historyi“.

Kraków zawiódł w części oczekiwania artysty: dzieło jego wzbudziło wprawdzie ogólne zajęcie, o jego osobę jednak pytało niewielu, zaledwie ci, którzy go znali w powstaniu, lub ci, których na swych obrazach umieścił, przekazując potomności młodzieńcze ich rysy. Lwów odniósł się serdeczniej do osoby malarza. Toteż z radością podjąłem się rozpowiedzieć wszystko, co wiem o Sochaczewskim, malarzu-sybiraku, (peintre forçat), jak nazywają go w Brukseli.



TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

Była chwila milczenia, podczas której, jedno na drugie spojrzeć nie śmiało. Wkońcu Władysław ujął za rękę Annę:

„Panno Anno! Mnie pojutrze w drogę, pożegnać panienkę, czy nie zapomnicie tu o żołnierzu biednym, któryby za was chętnie życie oddał“, tak mówiąc, całował kilkakrotnie jej rękę.

„Nie daj Boże, abyśmy o Waćpanu zapomniały, ale czy Waćpan, Mości Pułkowniku, tam w Warszawie, gdzie tak dworno i huczno, nie zapomnicie o nas, tu na wsi żyjących“.

„Anno! Anno moja“ zawołał z zapałem Paracki, „mnieby ogień piekielny wpierw spalił, zanimby ja o tobie zapomniał. Da Bóg, jak spełnię swoje obowiązki i wrócę tu, czy znajdę ciebie, czy ty zechcesz poczekać na biednego rycerza, któremu dziś życie, jutro śmierć, Anno, Anulko, czy zastanę jeszcze ciebie!“

„Jeżeli Bóg tylko życia nie odmówi“, szepnęła Anna.

Na drugi dzień w obecności ks. Piotra odbyły się formalne zaręczyny Władysława i Anny, a na trzeci dzień rano, Paracki w towarzystwie Jaśka, którego wyprosił sobie na pachołka, pospieszał do Warszawy.

III.

Piekące promienie lipcowego słońca nie przechodziły przez gęstą zasłonę liści do wnętrza lasu, którym szedł młody podróżny. Ubiór na nim był letni, u boku karabela, a w ręku trzymał spore zawiniątko, w którem znajdowały się zapewne wykwintniejsze suknie. Sam podróżny młody był, jak powiedzieliśmy lat około 30; z pod płóciennej konfederatki wymykały się na ramiona gęste, czarne włosy, ślicznie się kręcące; pod krzaczystemi brwiami błyszczały inteligentne ciemne oczy, które spokojnie z miejsca na miejsce przechodziły. Twarz podróżnego była świeża, składały się na nią, jakby samo mleko i krew, tak była piękną; do tego obrazku trzeba jeszcze dodać duże, prawdziwie szlacheckie wąsy, które zakrywały górną wargę.

Gąszcz leśny, przez który z trudnością przedzierał się podróżny i cała ta prawdziwie tajemniczo-cicha okolica, kazała się domyślać, że jest to jeden z tych szeroko i długo ciągnących się lasów, po których można było błąkać się, nie wiedzieć jak długo i prędzej z głodu zginąć, niż napotkać ślad przynajmniej człowieka. Podróżny musiał o tem wiedzieć, w jak niebezpiecznem znajduje się miejscu, a przecież choć wokoło tylko drzewa i gąszcze się przeciągały, a nie było najmniejszej ścieżynki, któraby mogła prowadzić go do siedzib ludzkich, szedł śmiało przed siebie, to mrucząc pod nosem, to śpiewając coś bardzo wesołego. Zdaje się, musiał być bardzo pewnym siebie.

Wtem o kilkaset kroków przed nim ukazało się duże jasno-niebieskie koło. Było to niebo, które przezierało przez kolisty otwór; na regularność jego składała się najpierw znaczna jeszcze odległość, a potem to krzaki, to drzewa, rosnące lub powalone jedne na drugie. Był to więc znak, że niedługo wyjdzie z niepewnej gąszczy. Podwoił zatem kroku, a ledwie przeszedł połowę dzielącej go odległości od otworu, gdy głośno kracząc, przeleciał mu wysoko ponad głową kruk. Podróżny, zdaje się nie był zabobonny, mimo to jednak, mimowoli prawie, podniósł głowę i spojrzał za ptakiem. Gdy kruk usiadł na szczycie drzewa, zobaczył przy świetle słońca, że w dziubie trzyma coś błyszczącego. Nie wahając się długo, wyjął pistolet z za pasa i zmierzywszy, posłał złodziejowi kulkę. Słyszał szelest, wskazujący, że ptak niedaleko niego gdzieś spadł, długo jednak szukać musiał, nim znalazł go zaplątanego w gałęzie krzaku. W kurczowo zaciśniętym dziobie, trzymał kruk pierścień złoty, a gdy go podróżny z wielkim mozołem stamtąd wydostał, spostrzegł, że jest ozdobiony najczystszej wody soliterem. Naturalnie, szlachcic nasz wielce się ucieszył i przywłaszczając sobie pierścień, włożył go na jeden z palców, nie bez troski o to, że ktoś mógłby się przyznać do niego. Potem szedł dalej.

Gdy był już koło owego wyjścia z lasu, stanął tam, namyślając się, którędyby mu najwygodniej zejść było Od stóp jego bowiem na dół, rozciągała się zarośnięta krzakami pochyłość, poza nią widać było kilka wsi, ozłoconych gęsto łanami, a jeszcze dalej na samym krańcu widnokręgu, rysowały się rozmaite czarne punkciki, linie i trójkąty. Podróżny, znajomy dobrze miejsca, poznał Warszawę. Po namyśle skierował się na prawo i ostrożnie, czepiając się to drzew, to krzaków, zszedł na dół i dróżyną, wijącą się wśród zbóż, dostał się do wsi. Jak zawsze, na pierwszym wstępie, uderzyła go żydowska karczma, u wejścia której wisiał duży szyld, a na nim wymalowany jakiś frakowy młodzik, obwieszony najrozmaitszego rodzaju orderami. U spodu pod nim był napis: „Jego Król. Mość Stanisław August“.

Podróżny na widok tego, wydął obie wargi i mruknął do siebie: „Pii“ Potem wszedł do sieni a stamtąd do dużej izby, w której kilka tylko osób się znajdowało. Był także i gospodarz, rudy, jak mysz wygładzony żydek, który przybyłego zmierzył szybko maleńkiemi, przenikliwemi oczkami. Pomiar ten, nie wiedzieć jak wypadł, bo Mordko z tą samą miną co pierwej stał za szynkfasem, czekając na pierwsze słowo gościa.

„Masz waszeć izbę?“ zapytał ten.

„Służę“, odparł arendarz i wprowadził podróżnego do przyległego pokoju. Był to ciemny alkierzyk, w którym stało jedno łóżko bez pościeli, stół, kilka krzeseł i kufer.

„Proszę chleba i sera, lub co tam jest i wódki“, rzekł szlachcic, poczem znużony padł na jedno z krzeseł, tak, że aż niemiłosiernie zatrzeszczało. Gdy usłużny żydek, ciągle nie wiedząc, z kim ma do czynienia, i jak ma postępować z gościem, przyniósł żądany posiłek, podróżny chciwie jął się jego. Najpierw odwilżył gardło dużym kielichem siwuchy, a potem wziął się do chleba. Żydek stał przy drzwiach milczący, szlachcic zdawał się na niego nie zważać.

„Jaśnie Pan z daleka?“ ośmielił się zapytać po kilkunastominutowem milczeniu, gdy gość kończył już trzecią kromkę chleba. Ten z początku nic nie odpowiadał, aż gdy połknął ostatni kęs, wyciągnął się i rzekł, jakby w odpowiedź:

„Przyszlij mi tu waść kogo, żeby mi buty otrzepał i pomógł mi się przebrać. Przynieś mi także piwa, bo dalibóg ginę z pragnienia“.

Żydek zrobił jakiś gorzko-usłużny uśmieszek i pobiegł wypełnić rozkaz dziwnego gościa. Po chwili wszedł młody chłopak, a za nim ukazał się gospodarz z blaszaną miarką pełną piwa. Chłopak — Jan mu było na imię — z umiejętnością wziął się do rozwiązywania węzełka, kolejno wyciągnął stamtąd najpierw żupan granatowy ze złotemi kwiatuszkami, potem czarny kontusz, pas jednego koloru, w końcu aksamitną konfederatkę. W skórzanym futeraliku znalazł wysokie czaple pióro, które tam schowano, aby się nie zgięło, a wyjąwszy je, przypiął do czapki. Ułożywszy to wszystko, wprost do widzenia, zdjął gościowi buty i począł je czyścić przyniesioną szczoteczką. Inną oczyścił karabelę. Żydek, odprawiony tak niemiłosiernie przez gościa, odszedł, a ten począł się z pomocą Jana ubierać. Gdy był gotów, dawszy chłopcu całego tynfa, za co go ten w kolano pocałował i każąc mu wynająć konie do Warszawy, wszedł do pierwszej izby, w której żyd szeptał coś ze swoją Ruchlą. Gdy gościa zobaczył, stanął szybko na swojem urzędowem miejscu za szynkfasem i nic nie mówiąc, schował podane sobie przez gościa pieniądze.

Jan pospieszył się z przyprowadzeniem fury dla hojnego gościa, bo nie minęło pół godziny, a wrócił już z nią razem. Gość wieść się kazał do Warszawy, a że konie były dobre, w niespełna godzinę wjeżdżali już w miasto. Tu ruch panował wielki, gdyż robaki, mające podkopać Rzeczpospolitą, już pracowały w stolicy i chociaż było to jeszcze znacznie przed pierwszym rozbiorem, ale duch rozkładu wionął już w Warszawie. Po ulicach przechodziły wojska trojakiej narodowości: pruskie ociężałe huzary, Moskale i Niemcy. Po chodnikach słyszałeś wyłącznie prawie język francuski, a to nietylko rozmawiali nim przybyli cudzoziemcy, ale Polacy w francuskich strojach.

Zmierzali ku przedmieściu; gdy fura przez sam środek rynku jechała, przepę-

dził obok nich powóz otwarty, około którego jechało konno sześciu kozaków. Siedziało tam troje osób, mężczyzna w sile wieku, kobieta, zdaje się jego żona i panienka lat może dwudziestu. Ojciec był ubrany po francusku, córka zaś czysto po polsku. Na złocistych włosach, które na plecy w dwóch długich warkoczach spadały, trzymała się na bakier nieco czapeczka z białych królików z niebieskiem denkiem; na ramionach miała biały kontusik, podszyty niebieskim atłasem; takiegoż koloru był także żupan. Drobnych nóżek w żółte buty odzianych, opartych na dywaniku, nie widział nasz podróżny.

W przelocie wzrok jadącego w powozie mężczyzny, spotkał się z czarnymi oczyma nieznajomego, którego uderzył bystry jego wyraz. Długo patrzał za nimi, dopóki kareta nie znikła na zakręcie ulicy.

Wkrótce stanęła fura z naszym podróżnym na jednej z brudnych żydowskich ulic, przed czwartorzędnym hotelem, do którego się wieść kazał. Szlachcic wyskoczył szybko z wozu i zapłaciwszy woźnicy, znikł w sieni hotelu. Stąd nie przeprowadzany przez nikogo, wbiegł na schody i stanął na piąterku w kurytarzu, na który wychodziło kilka drzwi. Otworzył jedne z nich i znalazł się w ponurym pokoiku o jednem oknie. Stała tu tylko sofa, wybita płótnem, na której leżała podejrzana poduszka, stół na środku i dwa krzesła. Nad sofą wisiał jakiś czarny zupełnie obraz, na którym z trudnością tylko ludzkie rysy rozeznać było można. Podróżny usiadł, a widząc, że nikt nie przychodzi, począł nogą bić o stół, tak długo, aż drzwi się otworzyły, a w nich ukazał się pejsaty żydek, który na widok gościa natychmiast chciał uciekać. Ale podróżny już go miał w ręku i pytał:

„Znasz Salomona Pera?“

„Nu a czemu nie?“ rzekł żydek, trzęsąc się „to moje taty“.

„Twoje taty? a skądże ty się tu wziął?“

„Nu, to wun trzyma ten dom“.

„To jego hotel!“ mruknął do siebie gość.

„Idź, zawołaj mi ojca“, rzekł do Mojsia, dając mu stołka tak, że ten za drzwiami nagle się znalazł, wcale nie przyczyniając się do tego.

Po kwadransie dał się słyszeć za drzwiami mierny chód i do pokoju wszedł poważny żyd. Broda u niego długa, tu i ówdzie siwa już, pejsy czarne; ubrany był w atłasowy chałat, przewiązany jedwabnym pasem, za który poważnie ręce założył. Potem można było poznać, że pan Salomon Per, pewnym był siebie, od czasu jak kupił tę gospodę. Jakoż poważnie, bez uniżenia, skinął głową gościowi a potem usiadł na krześle i odsapnęł:

„Pan starościc już tu?“ zapytał.

Ale starościc nie chciał, czy nie mógł odpowiedzieć na to pytanie, na które zreesztą żyd sam, widząc go, łatwo mógł znaleść odpowiedź, bo chodził wkoło niego, cmokał ciągle językiem na znak zadowolenia, czy też innego jakiego przyjemnego uczucia. Gospodarz zdaje się nie bardzo był rad szyderczej minie gościa, towarzyszącej temu, bo niechętnie rzekł po chwili:

„Ny, co pan starościc tak kołuje?“

„Pi, pi, ależ toś się Salomonie spanoszył, zostawiłem cię ubogim fagasem — pamiętasz — czasemś mi buty czyścił, a teraześ kamieniczny pan. Słowo daję, boję się nawet z interesem wyjeżdżać“.

Salomon omal już nie wybuchnął z całą arogancyą niezawisłego żydka, ale gdy o interesie usłyszał, spokorzał, jak to było widać po jego minie, pogładził na uspokojenie całą dłonią długą brodę i rzekł z pół uśmiechem:

„Nu, co jest! Pracowało się przez całe życie, teraz człowiek radby odpocząć i dla dzieci coś zostawić. Kupiliśmy ten dom, co prawda, zadłużony tak, żem się dotychczas jeszcze nie oczyścił całkiem. Ale cóż tam słychać z panem starościcem?“

W tej chwili w dwóch palcach podróżnego błysnął soliter, a przywłaszczyciel jego, przyświecając nim do światła, odezwał się:

„No Salomonku, wiesz co, po starej znajomości i na przeprosiny daruję ci to“.

Żyd syknął i zgrzecznia nagle.

„Jaśnie Pan żartuje“.

„Cóż ty kpie sobie myślisz! naturalnie musisz mi dać najpierw sto dukatów“.

„He! he! he!“, zaśmiał się Per gorzko. „Jaśnie Pan zawsze taki sam. Ale niechno ja zobaczę, sto dukatów, to przecież fajny grosz, tak pomiatać nim nie można“ i wyciągnął rękę po pierścień, który mu podróżny podał.

Żyd klejnot oglądał, ale po twarzy swojej nic nie dał poznać, czy mu się podoba, czy nie.

„Sto dukatów, jak sto, ale dam tu zaraz 60. Pierścień ładny, niema co mówić“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Henryk Zbierzchowski.

O ZMROKU...

p. MARYI i CECYLII B.

Chrystusa umęczone ciało,
Nad którem cicho szumiały
Ścięte gałązki jodły
Od blasków świec i dymu kadzideł
Dziwnie zżółkło i ściemniało...
A ludu żarliwe modły
Z cichym szelestem poruszanych skrzydeł,
Jak obłok przez chwilę w powietrzu się chwiały.
Aż zawisłszy pod łukiem sklepienia,
Nieruchomie — stężały.
I była chwila wielkiego milczenia
W tem zachwyceniu dusz nadziemnem,
Tylko na dworze brzoza umarła
Z szemraniem tajemnem,
Zwiędłemi gałązkami o ścianę się tarła...
— — — — — — — — — — — —

Resurrexit! huknęły wielkie dzwony,
A na to hasło
Pięć małych dzwonków przeraźliwie wrzasło
Zbitą gromadą...
I grają... zrodzone z spiżu tony
Porwane wichru zawrotną falą
Pełzają po szczytach gór i borów,
Aż wkońcu się kładą
Na wyciągniętą dal ugorów
I gasną w trawach siną pochłonięte dalą...
— — — — — — — — — — — —
Mrok już zapadał...
Od sinych borów uroczysk i gór
Zwolna, tajemnie się skradał.
Na ziemi długie kładły się cienie
Od chmur,
Co zbierały się groźnie na nieboskłonie.

I tylko w jednem miejscu słońce zachodzące
Złotem i purpurą lśniące
Przedarło wyłom w chmur czarnej oponie
I takie cudne powstało jaśnienie
W tej nieba stronie,
Jakby daleko... w błękitach tam,
Gdzie chmur opona przedarła się szara,
Druga się jakaś spełniała ofiara...
I czułem wówczas, jak stopiona w ciszy
Wzleciała dusza moja z tych padołów
Do rozpiętego w górze nieboskłonu
Z palcem na ustach... czy za błękitami
Chociaż słabego echa nie usłyszy
Z tych cudnych dźwięków niebieskiego [dzwonu,
Kołysanego rękami
Aniołów...

Ze świata kinkietów i szminek.

CYKL SYLWETEK

(Ciąg dalszy). *szkicował: Enesmol.*

Ludwik Mieczysław Czelansky.

I oniemieli nasi lwowscy bonzowie muzyczni, gdy po mieście gruchnęła wieść, iż nowy dyrektor, Pawlikowski, importuje sobie kapelmistrza opery aż z nad mętnej Wełtawy. A tymczasem wieść ta stała się niezbitym pewnikiem, gdy pewnego pięknego wieczora na któremś z przedstawień operowych przy końcu sierpnia „nowy dyrektor opery“ usiadł z całą flegmą w jednej z lóż parterowych skarbkowskiej widowni i rozglądnął się po audytoryum z miną przybysza, pewnego siebie najzupełniej. Mówił wówczas jeden drugiemu, wskazując dyskretnie na lożę, gdzie siedział Czelansky: Patrz — oto on!...

A „on“ tymczasem siedział spokojny i pewny siebie i patrzał i nadsłuchiwał. Niekiedy mrużył swe żywe, bure, z odcieniem koloru bawarskiego piwa oczy, tu i ówdzie gładził swój nos, jakby odwzorowany z któregoś z medalionów Beethovena, lub też myślące czoło, szeroko sklepione nad oczyma i odrzucał nerwowym, ale dystyngowanym odruchem swe artystyczne włosy, spadające ku tyłowi w falistych kędziorach. Niewiasty zachwycały się jego nieskazitelnie szopenowskim profilem, panowie zaś z uznaniem poduosili czarny surdut z klapami, nakrytemi lśniącym jedwabiem, skrojonym wedle ostatniego londyńskiego żurnalu, jakoteż śnieżnie białą kamizelkę pikową, nakrywającą niepozornemi fałdami pierś muzykalną.

Wcale interesująca i pokaźna osoba do pultu dyrektorskiego — mówił jakiś ck. urzędnik, członek nałogowy Koła lit. art., — ale czy posiada „aby“ odpowiednie doń kwalifikacye? Dla zaspokojenia tedy biurokratycznych wątpliwości owego pana, możemy mu do protokołu, potrzebnego ad hoc, podyktować, co następuje:

Ludwik Mieczysław (koniecznie jedno i drugie) Czelansky (tylko przez „y“), pochodzi z rodziny „muzykantów“, talent tedy muzykalny odziedziczył drogą atawizmu.

Kołyska jego stała — właśnie lat temu trzydzieści — nad modrym Dunajem. Było to w roku 1870, kiedy ojciec Ludwika bawił wówczas w Wiedniu, jako kapelmistrz jakiejś prywatnej orkiestry. Wkrótce jednak rodzina



Czelanskych wróciła do Czech, rozpalając ognisko rodzinne kolejno na kilku miejscach. To było powodem, że wyrastający Ludwik studyował elementarz w niemieckim Brodzie, podczas gdy szkoły średnie kończył w Kutnahorze.

W stosownym czasie ojciec uparł się, ażeby Ludwik chwycił się chleba światłodawcy. To jednak synowi, rwącemu się do światów, zamkniętych pięcioliniowym systemem, zapełniającym papier nutowy, wcale się nie uśmiechało. Dlatego też posadę nauczycielską puścił w dęty instrument, a sam, drapnąwszy, nie oparł się aż w Pradze, gdzie przez lat trzy aż do roku 1893 studyował w konserwatoryum muzycznem. Tu składa chlubnie wszelkie przepisane egzamina, równocześnie kończy szkołę operową i kształci się na aktora dramatycznego. Przez cały ten czas grasuje w ogniu teatralnym z szybkością i obrotnością salamandry.

Doskonały pianista, daje się poznać, jako bardzo dzielny kapelmistrz. Kolejno jest kapelmistrzem w r. 1896. w Pilznie, mieście tak nazwanem od piwa pilzneńskiego, które tam w wielkiej ilości bywa wyrabiane, w roku 1898 dyryguje przez cały sezon opery w Zagrzebiu, poczem wraca do Pragi w roku 1899, gdzie został powołany na godność drugiego kapelmistrza opery w „Narodnem Divadle“.

Jako kompozytor, w trakcie tego wystawia w r. 1896 jednoaktową operę „Camilla“; rzecz ta przy wysprzedanym teatrze idzie z rzędu 10 razy i utrzymuje się już potem wciąż na repertuarze „Narodnego Divadla“. Ponadto pisze Czelansky szereg pieśni, opusów fortepianowych i z dużem powodzeniem illustracye muzyczne do poematów Werchlickiego i Zeiera. W ubiegłym sezonie muzycznym zbierał wielkie tryumfy, jako kapelmistrz w Warszawie, gdzie dyrygował koncertami symfonicznemi. Kiedy po ustąpieniu Szuberta z „Narodnego Divadla“ cały personal uległ zreformowaniu, Czelansky wycofał się z tego interesu i myślał o przyjęciu posady kapelmistrza nadwornej opery w Petersburgu. Zanim to jednak miał czas uczynić, już został zaangażowany i przeniesiony do Lwowa.

Zjeżdża tu na czele całej kolonii czeskiej, złożonej z chórzystów i członków orkiestry. Wszystko to jest w nim formalnie zakochane a skinienia jego dyrektorskiej batuty odczuwa wprost z wrażliwością barometru. To udziela się bezwiednie i reszcie chóru, jakoteż orkiestry i kto wie, czy nie będzie kluczem powodzenia i doskonałości lwowskiej opery. Być może, że lwowscy bonzowie mistyczni, alias recenzenci mistyczni codziennych pism znajdą dość sposobności, jeśli zechcą tę doskonałość nowozorganizowanej opery zakwestyonować. Tó jednak nie przeszkadza nam przyznać, że Czelansky umie być stanowczym i energicznym, a swój fach kapelmistrzowski nie od parady pojmującym, co wszystko każe przypuścić, że operę będziemy mieli non plus ultra. Nowy dyrektor teatru oprze się na Czelanskym, dowodzącym „nowozaciężnemi wojskami cudzoziemskiego autoramentu“, jako rzymski Cezar na wodzu Pretoryanów, zmuszając w ten sposób pułki swej śpiewającej drużyny do najforsowniejszych marszów per aspera ad astra. Co niech się stanie.

Natalia Siennicka.

Marya Stuart bez ziemi, przetransponowana na kamerton „fin de siecl'u“ z wszystkiemi cudnemi przywarami tej równie pięknej, jak i nieszczęśliwej królowej. Najbardziej interesujący typ współczesnej modernistki w najrozkoszniejszem tego słowa znaczeniu. Niepospolita w każdym calu, przypomina mocno tuberosę, równie, jak kwiat, ten zawrotna i piękna.

Główka wymarzona do winiety, mogącej zdobić zbiorowe wydanie dzieł Balzaka. W profilu posągowo piękna, subtelnie rzeźbionemi rysami przypomina najefektowniejsze kamee nowożytne: niesłychanie harmonijnie sklepione czoło, po makartowsku narysowane brwi i oczy o nieprzepartym uroku Kleopatry, w których się jarzy bezbrzeżny temperament życiowy i upór... Umiejętnie wokół tej główki żelazkiem rozwichrzona glorietta mocno ciemnych włosów o przełysku labradorytu, skrywająca w swej powodzi dyskretnie troszkę zamałe uszy a kończąca się u szczytu paryskim kokiem, oryginalnie odbija od matowej białości twarzy ogromnie zmysłowej i przykuwającej.



Na ulicy i w domu zawsze tylko w czarnej kortowej sukni, skrojonej wytwornie, ale bez pretensyi, i w kapeluszu, o bajecznych strusich piórach i dużem czarnem rondzie, odgiętem à la Rembrandt. Na scenie olśniewa zabijającą wytwornością drogich i nieporównanych pod względem smaku estetycznego toalet. Te arcydzieła i poematy koronek, wstawek i przeróżnych aplikacyj mają tę dodatnią stronę, że wywołują przeciągłe „a...a..“ w widowni i są barometrem, regulującym modę w całym Lwowie, czy Krakowie; ujemną zaś znów, iż są gotowe dopiero na 5 minut (czasem i znacznie później)

przed rozpoczęciem premiery, że pożerają $^9/_{10}$ (czasem i więcej) gaży artystki, a ją samą stawiają na stopie wojennej kolejno z wszystkiemi magazynami mód, a w ślad za tem i sądami handlowemi.

Z tem wszystkiem pani Natalia, jako talent sceniczny, wprost znakomitość. Tuż obok Marcello-Palińskiej, fosforyzującej już dziś tylko jesiennemi blaski, ale zawsze jeszcze olśniewającej, jest Siennicka obecnie naprawdę jedyną aktorką w Polsce, odtwarzającą z niesłychanem powodzeniem typ kobiety współczesnej kultury. Na wyczulonym do niemożliwości i ogromnie wrażliwym wskutek wysokiego napięcia ekranie jej talentu typ ten wychodzi z wszystkiemi subtelnościami koronki brabanckiej, uwydatniającej optyczne najlżejsze drgnienia tak subtelnie nerwowej i niesłychanie skomplikowanej współczesnej duszy kobiecej. W rolach heroin dramatycznych ustępująca miejsca z wyniosłością wielkopańską Siemaszkowej, jest zato nieporównana w kreacyach pięknych grzesznic z salonu i półświatka. Zawsze znakomita w wyższej komedyi salonowej w rolach „grand-coquette", rozwija w salonowem „emploi" tyle wytworności, dystynkcyi i tego „grand air", że na tym punkcie publiczność zachwyca się nią i entuzyazmuje aż... do zaparcia tchu.

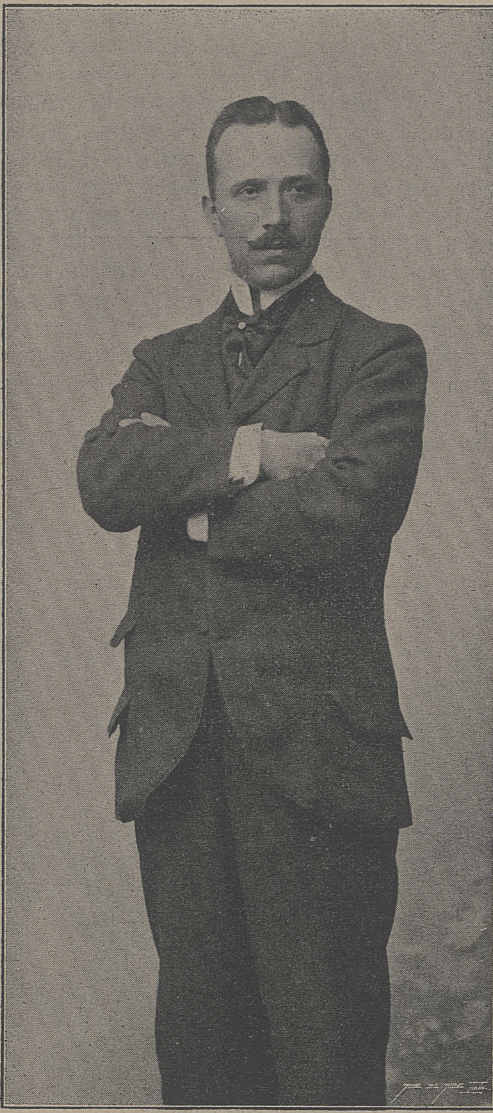
Debiutowała w roku 1886 u starego Teksla w roli Genowefy z „Poczciwych wieśniaków, Sardou"; wybierając wówczas po skończeniu gimnazyum żeńskiego w Warszawie między lancetem doktora medycyny a ołówkiem retuszerki wybrała w rezultacie denerwujący i duszny świat kinkietów i szminek. W czasie tej 14-letniej karyery scenicznej cieszyły się nią kolejno: Kielce, Łódź, Kraków, Poznań, Warszawa, no i Lwów. Obecnie powraca tu znowu, tym razem po raz trzeci. Dawna i sympatyczna znajoma.

Nie sposób wyliczyć wszystkich jej znakomitszych ról. Entuzyastka na punkcie Słowackiego, którego nazywa „swym kochanym bladym Julkiem", z szczególną predylekcyą po wirtuozowsku wprost gra niesłychanie trudną i subtelną rolę księżniczki ze „Srebrnego snu Salomei", a już za kreacyę hrabiny Idalii z „Niepoprawnych" możnaby jej śmiało wyprządz konie od powozu, gdyby nie to, że pani Natalia przy chronicznym „braku drobnych przy sobie" wraca do domu przeważnie piechotą. Przytem, jako aktorka, ma jeszcze dwa nieocenione przymioty: obdarzona olbrzymią wprost pamięcią, powierzoną sobie rolę cyzeluje z całym zapałem aż do znużenia i gra ją zawsze bez suflera, a potem... nigdy nie intryguje (rzadkość u artystek) przeciw swej dyrekcyi. Wyprowadzona jednak w tej mierze z równowagi rzuca wszystko na jedną kartę i kończy... Sedanem życiowym.

Niepospolita jednak w każdym celu jako aktorka jest nierównie ciekawszą jako kobieta. Przepada za niezwyczajnością. Niesłychanie inteligentna, uosobienie wytworności i szyku, w rozmowie cięta i subtelnie dowcipna. Posiada nieporównanie kapryśny charakter o wrażliwości mimozy, mieniący się najcudowniejszemi kontrastami i utkany z mgły, tęczy, szampańskiej piany, życiowego kurzu, kruchych zamiarów, podniebnych wzlotów i beznadziejnych upadków. Czasem posępna i zimna, jak fale północnej Leny, to znów rozbawiona i wybuchająca srebrną kaskadą śmiechu, jak górski spieniony potok Nerwy jej są... historyczne. W życiu posiada jednego nieubłaganego nieprzyjaciela, a tym jest ona sama. Oto, ma szczególny talent palenia przed i za sobą mostów i wplątywania się w koło nieprzeliczonych trosk i kłopotów życiowych, w ogniu których jest jednak niespalna, jak asbest. Powalona burzą, którą ściąga na swą cudnie rzeźbioną główkę z lekkomyślnością Kleopatry, rozkochanej w Antoniuszu, po przejściu nawalnicy podnosi się, jak trawa morska, znowu świeża, piękna, zawrotna... Ogół przypisuje jej z tego powodu demoniczność i do rydwanu ubiegłego jej życia doczepia upiory samobójców, zmarnowanych egzystencji, bankrutów życiowych etc. A tymczasem pani Natalia jest tylko poprawnem wydaniem „Saphony" Sardou i niewolnicą podszeptów swego łatwo mirażami rozkołysać się dającego serduszka, które po każdorazowym pożarze odradza się z popiołów, jak Feniks. Jest wciąż nieutulona w żalu do Opatrzności, iż nie stworzyła jej gdzieś w świecie, jak Modrzejewskiej, choćby mniej poprawnego wydania... drugiego Chłapowskiego.

Podobno prędzej, czy później, odziedziczy po jakimś bezdzietnym, zmoskwiconym krewnym cały wór rubli. Obiecuje sobie wówczas kupić za nie willę na Capri, aby tam przechadzać się w białej greckiej chlamidzie wśród gajów oliwnych, wpatrywać się w błękitny lazur południowego nieba i siadywać nad brzegiem, opalizującego w słonecznych słońca promieniach, morza, pełna ciszy, szczęścia, rozmarzenia. Ale nie sama...

Władysław Roman.



Sympatyczny i serdeczny chłop — dalibóg!... Niema zupełnie pretensyi do wysubtelniania sytuacyi życiowych nerwem wykwintu. Wogóle życie traktuje tylko „z grubsza" i byłby w okrutnym kłopocie, gdyby mu kazano ułożyć książkę pt.: „Skarbiec wytworności życiowych na 365 dni rozłożony".

Ma twarz nastrojoną zawsze „z głupia frant", inaczej mówiąc, przeważnie „robi Wojtka", co nie przeszkadza, iż jest bardzo inteligentnym i doskonałym aktorem. Na jego do czysta wygolonej twarzy, znajdziesz wszelkie odcienia, oprócz marzycielskiego. Do piwnych oczu przyrósł wyraz jakby wiecznego zdziwienia, a przerastałe kości policzkowe i dolna warga, naprzód podana, walczą o lepsze w efekcie z czołem, z nad którego włosy coraz to sromotniejszą urządzają rejteradę, jakby się wstydząc, iż pod niem nigdy nie zagościła myśl.. wynalezienia prochu bezdymnego.

A jednak taki „niewyszukany" pan jest przemiłym człowiekiem w otoczeniu, o ile nim być chce, i niezwykle szczęśliwym osobnikiem wobec kobiet, przeczulonych co do wykwintnego i wytwornego pojmowania tego najrozkoszniejszego ze światów pod słońcem. Na tym punkcie przybiera niekiedy minę dymisyonowanego zdobywcy.. Natalu.

Naogół przebywa gromadami, gdyż jest niezmiernie towarzyski. W ściślejszem kółku nieoceniony dla przepysznych anegdot, które produkuje z całym wyszukanym aparatem znakomitej mimiki i modulacyi głosu. Niestety, wszystkie one możliwe są tylko... na głosy męskie. Opowiadając coś żywo, rzuca niekiedy odruchowo raz po raz głową ku stronie prawej z charakterystycznem przekrzywieniem, czem przypomina mocno koguta, szukającego jednem okiem jastrzębia w obłokach. Ale mu z tem do twarzy...

Żywi się gażą, która bardzo często przed pierwszym jest już dlań tylko ilością fikcyjną, wprost nieziszczalną. Stąd słusznie może być nazwany „człowiekiem przyszłości", bo n. p. w miesiącu październiku żyje już... marcem. Biorąc zaliczkę, niezwykle się rozrzewnia. Pozbawiony na czas jakiś możności występywania, popada w smutek głęboki. Wówczas podrażniony, okrutnie sapie i ciska wokół niepraktykowane przekleństwa, brzmiące najczęściej z moskiewska. Szczególnie lubi napój z chmielu, również piwem zwany, stąd do oglądania naj częściej między 12—2 w handlu Naftuły, osławionym na punkcie „małej wieprzowej z dużem okocimskiem"...

Przekroczył już trzydziesty rok życia, z czego dziesięć z okładem poświęcił deskom, tym od sceny. Pochodzi z Lublina, gdzie, jak zapewnia, kończył gimnazyum i słuchał przez lat trzy świętej Teologii, póki w 1887 nie utknął na jakich turkusowych oczach, z trupy Anastazego Trapszy. Wówczas zmienił coprędzej sutannę na pstrokatą szatę histryona, a w rok potem debiutował już na wielką skalę w teatrzyku „Alhambra", robiąc furorę, jako Pafcio w „Podróży po Warszawie".

Wycofany z „Alhambry" warszawskiej, grasował rok po prowincyi, poczem przez cztery lata śpiewał w operetce łódzkiej. Z tą też operetką, zaangażowaną przez Pawlikowskiego na sezon letni 1890, przyjechał do Krakowa. Wówczas to wziął Pawlikowskiego tak dalece na swój talent do ról charakterystyczno-komicznych, iż został na stałe zaangażowany na scenę krakowską. W czasie 9-letniego na niej swego pobytu, wyrabia się na znakomitego aktora do ról charakterystyczno-komicznych, zabarwionych niekiedy „bardzo seryo". Obecnie zjechał wraz z Pawlikowskim do Lwowa.

I mamy go...

Nie chcąc na razie tak z miejsca robić wiwisekcyi dotychczasowego dorobku artystycznego Romana, zapowiadamy w nim Lwowowi przepyszną siłę sceniczną.

Radzimy wierzyć w dobrze zrozumianym własnym interesie!...

A. H.

Z WIEDNIA.

KRONIKA ARTYSTYCZNA.

Wiedeń we wrześniu.

Tym razem wprawdzie z Wiednia, ale nie o Wiedniu pisać mi przyjdzie. Upały i kurz wielkomiejski zmusiły wreszcie i waszego sprawozdawcę z końcem lipca zwinąć tobołki i uciekać w góry. Po drodze stacya „Baden" na myśl mi przywiodła, „Wieczory badeńskie" Ossolińskiego — więc jego tam pobyt. Gdyby tak tu zaglądnąć, może śladów jego bytności, może tradycyi o polskim hrabi, tajnym radcy i Ekscellencyi, a nadewszystko wielkim patryocie się doszukać? Ledwie myśl mię ta zaprzątał i decyzya pozostania zapadła, rusza pociąg dalej, więc już w następnej stacyi Vöslau chyba wysiąść trzeba, a stąd elektryką powrót do Badenu. Jakoż nie zawiodłem się w swoich oczekiwaniach i znów się okazało, że myśl na prędce uchwycona i w czyn przeniesiona nigdy nie zawodzi.

„Gdzie okiem rzucisz, tyle skarbów leży przed nami, a tak mało rąk do ich zebrania!" — tak woła polski kuracyusz z pierwszej ćwierci tego wieku w księdze pamiątkowej dra Rolleta, przyrodnika, wielkiego przyjaciela cierpiącej ludzkości i twórcy Muzeum Badeńskiego, które, jako owoc pracy całego swego żywota, darował rodzinnemu miastu; — a ten cytat naprowadził mi pokrewną myśl: — gdzie nogą stąpisz, wszędzie trącisz o polskie pamiątki, wszędzie ktoś z naszych „cząstkę swej duszy zostawił", a tak mało rąk, którebyś się ich zebraniem zajęły!...

Bo i któż nie zna Badenu, a ilu nas rok rocznie szuka tam ulgi w cierpieniach, lub błogiego spokoju i wytchnienia w romantycznej dolinie Heleny, w której wylocie Baden się rozłożył — a jak mało nas wie choćby o istnieniu jakichkolwiek tam polskich pamiątek, jakiegoś muzeum, lub miejskiego archiwum tak pouczającego, tak bogatego i wzorowo utrzymanego?!

Z Badenem wiążą nas nadto dawne wspomnienia historyczne. Władysław IV. r. 1638, z królową arcyksiężniczką i królewną siostrą swoją Anną, w otoczeniu spowiedników i kaznodziei OO. Pstrokońskiego i naszego Horacyusza Kaz. Sarbiewskiego u wód tych cieplicznych szukał ulgi w cierpieniach — a że bez wiedzy stanów w drogę wyruszył — wkrótce na Sejmie prawo stanęło, że król jegomość bez zezwolenia stanów za granice państwa wyjeżdżać nie może...

Ale wróćmy do czasów nam bliższych, a to dochodząc po nitce do kłębka... Myślałem tedy tylko za śladami długoletniego pobytu Ossolińskiego czynić poszukiwania, gdy mnie zaintrygował napis: „Aleksandrowicz - Anlagen", a później na tablicy pamiątkowej w t. z. „Ehrenhalle" — domu zdrojowego (kurhauzu): Gräfin Marie Aleksandrowicz geb. Gräfin Ledochowska † 1826. Ale jak tu o tak dawno minionych czasach i osobach zasięgnąć języka? Tu tylko registratura komunalna na to poradzi, więc szukam jej, mówię, o co mi chodzi i dowiaduję się, że w tej sprawie tylko w archiwum miejskiem mogę się czegoś doszukać, które atoli tylko w niedzielę rano jest otwarte.

Najbliższej niedzieli wchodzę tedy do archiwum miejskiego na 2 piętrze Rathhausgasse 2, bardzo schludnie, czysto i wytwornie nawet utrzymanego, i z progu uderza mnie już postać staruszka o siwej brodzie, wyniosłem czole i bystrem modrem oku, który usłyszawszy wejście (rzadkiego naturalnie) gościa od jakiejś gablotki się obraca, i widząc nieznajomego, z uprzejmą miną i wyciągniętą ręką, jak ku dawno znajomemu z uprzejmem podchodzi słowem. Jest to Phil. dr. Herman Rollett, dziś w 82 roku życia będący — poeta, artysta, badacz sztuki i natury — specyalista w dziedzinie daktylioteki i uczony badacz wizerunków Göthego, równie dobrze zna się na naturaliach, jak na badaniach ściśle historycznych. Człowiek nadzwyczaj ciekawy i obarczony tak fenomenalną pamięcią, że osoby i zdarzenia z przed 76 lat i więcej, z taką prawdą, jędrnością, dokładnością i werwą opowiada i opisuje, że czuć w tem, jak mu one żywo i jasno w pamięci się odnawiają. A widział i znał on wielu i wielkich ludzi. Jest co słuchać, gdy opisuje cesarza Franciszka I., tak charakterystycznie, że portretowaćby go można w tych wysokich palonych butach, z rękoma w obie tylne kieszenie fraka założonemi, dmuchającego co chwila z nadętych policzków, — gdy opowiada zetknięcie się z księciem Reichstadtu (synem Napoleona) i jego matką, przygodę ze zmarłym niedawno arcyksięciem Albrechtem, którego matkę jeszcze dobrze zapamiętał, gdy opowiada o Beethowenie, starym Lampim, Mendelssohnie i tylu innych. Ku temu miał wielką i jedyną sposobność, gdyż ojciec jego Antoni Rollett (ur. 1778 † 1842) był nietylko najznakomitszym lekarzem zdrojowym, mężem wielkiego serca i umysłu, ale przytem uczonym i pilnym zbieraczem rzeczy muzealnych — dla którego to zbioru z czasem osobną musiał stawiać willę tak, że jego muzeum stało się osobliwością widzenia godną i pilnie zwiedzaną. W roku 1811 założył tedy Rollett książkę pamiątkową („Gedenkbuch für Freunde der Natur und Kunst", na grzbiecie oprawy) dla zwiedzających jego Muzeum, a pierwszy wpisał się Arcyksiążę Rainer Józef († 1853), zaraz po nim Józef Max. hr. Ossoliński po francuzku, jako conseiller Int. de S. M. I. Prefet de la Bibl. Imp. 8. Febr. 1811. — Dziś zbiory te zapełniają, jako dar dla miasta, cztery sale dawnego budynku redutowego i część archiwum miasta.

(Dokończenie nastąpi.)

Kazimierz Bielański.

WIECZOREM.

Dziwnie. Wieczoru smutne, ciche zamyślenie
Ukojenia melodyą niesłyszaną zlewa
Na moją duszę smutną. Cicho stoją drzewa
W wieczornego pomroku osłonięte cienie.

Jakie kojące, wielkie, bezbrzeżne milczenie!
A duch mój słucha, słucha. Zda się, w dali śpiewa
Czarowne pieśni wspomnień, w snach widziana dziewa —
Jakby miłości wielkiej ku mnie idzie tchnienie.

I przenajdroższe jest mi to dziwne złudzenie,
Które mą duszę czarem, upojeniem pieści
I chwilę głuszy wielki, krwawy hymn boleści.

Mija wieczór, noc idzie, noc-rozpacz, co targa
Duszę i płoszy szczęście — z ust wypada skarga,
A piersi wznosi długie, bezdenne westchnienie.

Artur Schnitzler.

OWACYA.

NOWELETTA Z ŻYCIA TEATRALNEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Akt pierwszy się skończył.

Fryderyk Roland siedział samotny w swojej garderobie. Ubrany był w jakiś fantastyczny kostyum: tużurek z czarnego i czerwonego aksamitu, ciemno-niebieskie trykoty, nosił też perukę o pysznych, spadających mu aż na ramiona puklach włosów. Szpadę położył na kolanach i wpatrywał się nieruchomo w zwierciadło, w którem widział twarz swą naszminkowaną, tchnącą jakąś młodzieńczą świeżością i fałszywe, przyprawne wąsy.

I tak siedział, gdyby w otrętwieniu od samego początku przedstawienia.

Teraz oto słyszał przez zamknięte drzwi głosy i kroki chórzystów, którzy mimo jego garderoby spieszyli ze sceny do swych garderób; wkrótce znów się wszędzie uciszyło. Roland był zadowolonym, że był sam; nową tę operetkę lubiał nawet, bo nie był przy niej zajętym żaden z dwu jego kolegów, z którymi miał wspólną garderobę. Oczywiście, ludzie z którymi on się nie mógł porozumieć; byli to ludzie zadowoleni z siebie zupełnie, którzy ich znikomy artyzm od dawien dawna wykorzystywali w celach materyalnych — jako rzemiosło wprost, i nie żądali niczego więcej, jak tylko skromnego utrzymania, co też i mieli.

Roland wiedział, że dziś spada do rzędu takich właśnie miernot, lecz czuł zarazem, że w rzeczy samej zupełnie się od nich różni. Gdyby posiadał był choć odrobinę szczęścia, wówczas byłby obecnie czemś zupełnie innem.

O tem też myślał teraz, siedząc naszminkowany przed zwierciadłem, jak mu godziny za godzinami upływają na podobnych myślach.

Nawet teraz, po upływie dziesięciu lat, od kiedy zaangażował się w tym teatrze, nie mógł bez uczucia głębokiego wstydu i tłumionego żalu jakiegoś wstępować na scenę.. nigdy też nie umiał powstrzymać w sobie tych uczuć.

Wkrótce wynaleźli też jego koledzy, za pomocą instynktu właściwego ludziom niskim, ową jego słabą stronę, w którą go najdotkliwiej można było ugodzić: sposób, w jaki mówił, powolny i jakby z odcieniem jakiegoś znużenia, jego chód miarowy, napozór dumny a nawet przyzwyczajenie się do przechylania nieco na bok głowy, poczem przymrużał oczy, brano mu za komiczne odznaki niezadowolenia.

Czy miał talent, o tem zdaje się nikt niewiedział — a przynajmniej nie mówiono o tem nigdy; jego role, w jakich od lat występywał, były: paziowie, lokaje, parobcy, sędziowie przysięgli, wogóle figury, które bezimiennie na afiszach figurowały; najczęściej bywał nawet drugim parobkiem, lub trzecim sędzią przysięgłym.

Nie można było przypuścić, by miał więcej pretensyi do uskarzania się, niż inni, których do tych samych ról wybierano; wszak i oni przeszli prawie takie same koleje życia, co i on i grywali przed laty po małomiasteczkowych scenach pierwszych bohaterów, amantów, lub intrygantów. Może znajdował się między nimi niejeden, który sobie te czasy wśród bolesnych wzruszeń przypominał... może zdołanoby poznać ślady owych bolesnych wspomnień na twarzy... lecz on był przedmiotem wszystkich żartów i złośliwych przytyków, albowiem widziano, że on najbardziej wskutek tego cierpi.

Zrazu usiłował się bronić, lecz był niezręcznym, następnie usiłował być nawet grubijańskim, lecz nie miał należytej odwagi ku temu. Tak tedy zaczął przyzwalać na wszystko, zamknął się w sobie i całemi tygodniami nie przemawiał do nikogo ani słowa.

Wszystko to uzupełniło jego sylwetkę charakterystyczną, jaką sobie z jego postaci utworzono... był on niejako objawem tej komicznej dumy zapoznanych geniuszów. Sława jego rozniosła się zwolna po całem mieście; wszyscy, których zajmowało życie sceniczne, znali nazwisko Rolanda, z którem wiązało się tyle żartów i śmieszności; reporterzy i krytycy teatralni w swoich recenzyach, publiczność w dowcipnych rozmowach posługiwała się jego nazwiskiem, aby krótko zdefiniować typ małego, lecz zarozumiałego statysty.

Tak tedy zdobyło sobie imię jego w swoim rodzaju pewną popularność, a jego żądza sławy, o której zawsze marzył, poczęła się spełniać, lecz w nieco innem znaczeniu.

Wreszcie doszło do tego, że zazdrościł tym, którzy pozostali nieznani. Wszyscy oni mogli spodziewać się, że los ich weźmie pomyślny obrót; oni mogli jeszcze z ich ciemni wejść w atmosferę świetlną... lecz dla niego stało to się po wsze czasy rzeczą niemożliwą.

Przed dwoma laty zdobył się jeszcze raz na odwagę, by prosić dyrektora o porządniejszą rolę. Lecz tenże odprawił go z ironicznym uśmiechem, który Roland aż nadto zrozumiał. Następnie myślał także o tem — po raz ostatni — by opuścić miasto i udać się na prowincyę, gdzie przebywał przez pierwszych lat dziesięć, swej artystycznej karyery; wszelako agenci upewnili go, że się zapóźno wybiera, a z drugiej strony, jego własne doświadczenia, których nabył swego czasu, kiedy grywał role bohaterów w małych czeskich i morawskich mieścinach, nie były także zbyt zachęcającemi, by mu udzielić potrzebnej energii, do działania na własną rękę. Najmędrszem tedy, co mógł uczynić, było ciche poddanie się losowi i, jak inni, spełniać swe obowiązki dzienne, by jakoś móc wyżyć.

Odtąd żył Roland w zupełnem odosobnieniu; ani z wielkimi, ani z małymi nie mógł obcować. Przedtem uczęszczał regularnie do pewnej restauracyi, — gdzie zbierało się grono maluczkich, jako to: posługacze teatralnych, statystów i obywateli, dumnych z tego, że mogli obcować z ludźmi, ocierającymi się o scenę.

Lecz i tu nie brakło nigdy dowcipów, skoro tylko się Roland zjawiał; a niejedno serdeczne słowo, którem go witano, on, w swem pessymistycznem niedowierzaniu pojmował jako ironię, jako drwiny; tak tedy wkrótce i ta restauracya stała się dlań niemożliwą. Tylko od czasu do czasu, kiedy już po kilka szklanek wina gdzieindziej wypił, odwiedzał swą restauracyę; wówczas mógł łatwiej wierzyć w uprzejmość i dobroć ludzką, a nawet żarty przyjmował obojętnie. Czasami miewał nawet takie chwile, w których nadzieja jakiejś dziwnej zmiany wynurzała się w jego duszy, uważał, że są możliwe jakieś wypadki, któreby jego życie odrazu na inne pchnęły tory, a wówczas pogardzał tymi co z niego szydzili.

Ponieważ jednak wino nastrajało go nader rzadko, chadzał więc, jakby między ludźmi, jak ktoś, kogo ciężko obrażono, a który nie może sobie żadnego zadośćuczynienia wyrządzić.

Dawniej wnosiły mu w jego życie przygody miłośne ostatnie przebłyski z młodości, lecz od lat kilku, nawet i to minęło, a czułym i pytającym spojrzeniom, jakie jeszcze od czasu do czasu spotykał, nie wierzył wcale.

Od kilku tygodni znajdywał czasami fiołki na małym stoliku w swej garderobie; lecz on nie starał się nawet dowiedzieć, skąd one pochodzą; z pewnością musiał to być jeden z owych żartów, których sobie nieraz na nim pozwalano, jakoto, słodkie liściki, w których mu wyznaczano schadzki, gdzie albo nikt się nie zjawiał, lub co gorsza, sufler z kilku chórzystkami, którzy się serdecznie śmiali z niego.

I dziś zastał fiołki; nie ruszył ich nawet. A gdyby mu je ktoś nawet seryo posłał, — to cóż mu na tem zależeć mogło?

Był tak zniechęconym do wszystkiego, że nic nie zdołałoby go ucieszyć.

Nic nie czuł około siebie, jak tylko śmieszność i osamotnienie...

Czasami myślał: i jakże to się ma skończyć?.. A wówczas dziwne myśli mu przychodziły do głowy, lecz on je zawsze odrzucał. Raz tylko nosił się przez dłuższy czas z myślą, by dać do gazety, jak go ludzie męczą, i jakby jakąś odezwę do całej publiczności, zaczynającą się od słów:

„O szlachetni ludzie!“ Nawet począł ją pisać w swej garderobie, bo stół w jego mieszkaniu chwiał się zawsze — lecz odezwa ta nie udała mu się. Zakrawało mu to coś, jakby na żebranie miłosierdzia. A nadto ludzieby się śmiali.

Raz znowu wpadło mu coś innego na myśl. Chciał oto rozmówić się poważnie z primadonną teatru, z panną Blandini, która na próbach czasami bardzo uprzejmie i życzliwie z nim rozmawiała; chciał oto jej przedstawić, że on nie jest właściwie tak śmiesznym, jak o nim mówiono, lecz... nie mógł się zdobyć na to. brakło mu zawsze odwagi.

(Dokończenie nastąpi).

Bertold Menkes.

O „BAŚNI NOCY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ".

Mein Freund, das grad' ist Dichters Werk,
dass er sein Träumen deut' und merk'.
Glaubt mir, des Menschen wahrster Wahn
wird ihm im Traume aufgethan:
all' Dichtkunst und Poëterei
ist nichts, als Wahrtraum — Deuterei.
Hans Sachs (Meistersinger).

Wszystko to było snem!
Kasprowicz.

Kasprowicz miał napisać prolog. Czy spełnił to zadanie? — Nie. Jego „Baśń nocy świętojańskiej" nie jest prologiem, jest próbą, studyum dramatycznem, mającem na celu przejawienie istoty dramatu. To też najniewłaściwiej praca jego ujrzała światło kinkietów w chwili, kiedy zebrana na przedstawieniu inauguracyjnem, wystrojona i ufraczona publiczność znudzonym wzrokiem wodziła po scenie, pytając w duchu: Co to wszystko ma znaczyć?... Absolutnie myśl zasadnicza prologu zeń wyłonić się nie chciała, aby po spacerować w mózgownice słuchaczy. Toteż mądrzy kpili, a głupi klęli.

Po czyjej stronie słuszność?...

. . . .

Wspomniałem już, iż Kasprowiczowi chodzi w Baśni o rozwiązanie pewnego, dla ewolucyi jego własnej istoty ważnego problemu.

Co to dramatyczność? Jakie w dramacie tkwią pierwiastki tragiczne? W jaki sposób dają się ucieleśnić? A jak wreszcie geniusze je dotychczas uzewnętrzniali?

Z tego punktu zasadniczego, z tej myśli filozofa, zatopionego w swym problemacie, wyjść należy, chcąc zrozumieć dzieło Kasprowicza. Około tego punktu ogniskuje się, jak gdyby około miejsca świetlanego, snop promieni — cała baśń, a więc to, co poeta wyobraźnią wczarował w poemat, wszystkie osoby, czy to ze świata rzeczywistego, czy fikcyjnego, tło górskie, wszechprzyroda, w jej najintenzywniejszych przejawach — słowem, faktura prologu.

Myśl przewodnia, jądro i punkt centralny pracy ideowej Kasprowicza są nawskróś nietzscheańskie.

Wyobraźmy sobie, jak po wsze czasy święci człowiek narodziny tragedyi.

To sen i szał. Apollińskie widzenie senne i dyonizyjskie upojenie. One to duszę ludzką kierują w te przestworza, gdzie się odzwierciedla istota tragizmu, pierwiastki dramatyczne, najbardziej spotęgowany ból i najwyższa rozkosz, gdzie niewyczuwane dotąd popędy dążą do wyboju, do zdarcia zasłony Maji, do stopienia się w jedność z wszechprzyrodą.

„Teraz oto wyłoni się nowy świat..."

. . . .

— „Rozsuńcie zasłonę!"

Nowy świat... Świat sennego widzenia. Pejzarz górski — mrok wokół — na górach szumią jodły — siklawa cienką smugę wody toczy bezustannie naprzód...

Tylko śnić... śnić o błędnych ognikach..., o paproci..., o szczęściu..., o kochaniu...

Wojtuś śni. Śni o rusałkach, śni o zrzuceniu skorupy prostoty wieśniaczej, o zarzuceniu płaszcza rycerskości — śni..., a senne marzenie ziszcza się natychmiast.

Tego, co Wojtuś prześnił, nie moglibyśmy wiedzieć. Wszak jesteśmy poza nim. A więc, jak to nam uświadomić? Technika dramatu zna na to sposób: zamieszcza to obok niego. A więc widzimy wszystko to, co właściwie w nim się odbywa. Widzimy wyśnione obrazy panien leśnych, widzimy jego metamorfozę w uszlachetnionego piewcę miłości, widzimy wreszcie, jak w nim przejawia się jego istota, jego filozofia. Nie „ta filozofia, co prowadzi do piekła", lub ta wyczytana z podręcznika — ale jego filozofia, ta która mówi:

„...takie
jest przeznaczenie: kiej człowiek ma umrzeć,
to juśćie umrze, a kiej, wiecie, umrze,
to szkoda nie jest zbyt wielka: na świecie
są niby ludzi całe miliony,
tak, że jak padnie jeden, albo drugi,
to niby mały robaczek, którego
teraz, niechcąc, niby przydeptałem.
A co do duszy, to już mnie się widzi,
że to są żarty... Dusza nie umiera,
jako ją Pan Bóg stworzył nieśmiertelną
i choćby nawet chciał, to już nie zmieni
tej swojej woli, boby musiał zmienić
siebie samego i przestać być Bogiem.
A jak kto, wiecie, gazduje, to sam się
tego gazdowstwa nie zbędzie".

albo:

„...Kiej dusza cierpi,
to się tak czyści, jak w ogniu, a przecie,
to najgłówniejsza, aby dusza była
czystą..."

A więc we śnie filozofuje o pokuszeniu, które się przed nim zjawia w postaci Mefistofelesa, o misologii i chorobie duszy, na którą leku nie ma.

Glaubt mir, des Menschen wahrster Wahn
wird ihm im Traume aufgethan.

Wojtusiu! Śnij... oddawaj się słodkiej złudzie! Te rusałki wokół się pląsające, i ta Pszczółka, co ci nad uchem brzęczy, i ta Mgiełka, co ci płowe włosy na czuprynie rozwiała i ten czerwony Mefisto, co na cię prze, byś krwią twą serdeczną z palca wyciśniętą cyrograf podpisał, i ten biedny człowieczyna, co swą duszę dyabłu oddał, bo dla niej spokojnego miejsca znaleść nie umiał, co

„raz się wybrał w tę podróż nieszczęsną
i zawisnął w powietrzu, pomiędzy
niebem a piekłem",

— oni wszyscy ci pomagają do utworzenia poematu, wizyi sennej, marzenia.

Śnij, Wojtusiu! Bo we śnie roztacza się przed okiem twej duszy moc obrazów, uplastycznionych widziadeł, bo wtedy „twa filozofia" przypływa na kresy twej świadomości.

. . . .

A teraz: szał, upojenie, wrzenie, rozpętanie.

To drugi motor pierwiastków dramatycznych.

Kasprowicz nazwał przedstawicielkę tych pierwiastków Obłąkaną.

O ile Wojtuś był indywidualnością, Wojtusiem, człowiekiem, tą a nie inną osobowością — o tyle Obłąkana jest pojęciem kolektywnem, jest rozprzestrzenioną na wszystkie uczucia i wrażenia, jakich się doznaje wówczas, gdy zgroza tragizmu do nas przemawia.

Szał, obłąkanie sprowadzają człowieka tam, gdzie źródło tragiczności.

Kasprowicz tu mistrzowski uczynił krok: Wyczuł, że Obłąkana nie może być tą, lub ową osobą, o ściśle określonych warunkach życiowych — uczynił więc z niej symbol tego rozpętania, w którem dusza jasno widzi swe stany. Toteż w Obłąkanej koncentruje się cała siła Baśni; poznanie bolu i rozkoszy wybucha tu przenikliwym krzykiem. A przez ten świat pozorów i złudy, świat niedomówionych bolów i niedocenionej radości przedziera się ekstatyczny ton tej, która wniknęła głęboko w istotę wszechrzeczy, która przeżyła najintenzywniejsze chwile życia Elektry i Ofelii, i Grethen, i Balladyny — każdej z nich, symbolizujących najsilniejsze węzły dramatyczne, na jakie się wogóle geniusz świata zdobył.

. . . .

Oto, podłoże ideowe Baśni. Zamiarem Kasprowicza było stworzenie poematu

„by dać w nim siłę ludzkim namiętnościom,
a skrzydła złote ludzkim marzeniom".

Tak Kasprowicz określa pierwiastki dramatyczne — taki w dalszej konsekwencyi stawia cel teatrowi wogóle.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

(Janek — Żeleńskiego; koncert Stojowskiego)

Konrad Wallenrod — Goplana — Janek — to trzy fazy w ewolucyi duchowej Żeleńskiego, trzy słupy graniczne na drodze jego twórczości, po których najlepiej możemy się oryentować, studyując rozwój jego talentu. Konrad Wallenrod — suchy, opracowany, jak wszystkie kompozycye Żeleńskiego świetne, ale pozbawione polotu i poezyi, dzieło, na którem gruntowne studya kontrapunktu i harmonii odbiły się ze szkodą dla piękna i czaru, Goplana harmonizowana idealnie, w którą pierwiastek ludowy wprowadza już pewien czar i świeżość między zawiłe frazy muzyczne, a wreszcie Janek, oparty zasadniczo na motywach ludowych, opracowany pięknie i subtelnie, a pełen świe-

żości i siły młodzieńczej. Ktoś słusznie zauważył, że Żeleński w tej operze odmłodniał.

Po uwerturze w b-dur, która illustruje świetnie tło — te góry nasze pełne grania fujarki, łkających skrzypek i rozległych ech w wąwozach i dolinach, ten ród górali trochę dziki i zbójnicki, a trochę smętny i melancholijny — przewija się w niej mnóstwo aryj lirycznych, śpiewnych, opracowanych misternie, j. n. dumka Marka, na tle sola skrzypcowego, albo arya Bronki z akompaniamentem, w którem słychać dzwonienie trzód pasących się na halach. Wogóle dwa pierwiastki, liryczny i dramatyczny, przewijają się przez całą operę, może nie zawsze równomiernie, ale jest to już winą banalnego libretta. Pierwszy akt jest przeważnie liryczny, choć pewien niespokój w akompaniamencie orkiestralnym i gwałtowne frazy w instrumentach dętych, zapowiadają już zbliżający się dramat.

Drugi akt ma charakter przeważnie dramatyczny i robi o wiele większe wrażenie, trzymając słuchacza w nieustannem naprężeniu. Podziwiamy świetny, a pełen dzikiej werwy chór górali i taniec, opracowany nadzwyczaj szlachetnie i ciekawie pod względem instrumentacyi. Operę kończy wspaniały finał, w formie marsza (specyalność Żeleńskiego), który illustruje znakomicie dramatyczność momentu i jest w motywach całkiem oryginalny. Słowem, Janek prawie, że zawiódł nasze oczekiwania w dodatniem znaczeniu. Polska opera bardzo uboga, jak dotychczas, powiększyła się o jedno dzieło szlachetne, o twór wielkiego talentu.

A teraz słów parę o wykonaniu. Lwów już dawno nie słyszał orkiestry, brzmiącej tak równo i pięknie, czułej na wszystkie zmiany dynamiczne i tak czystej w partycyach dętych, jak również chóru o tak silnem i czystem brzmieniu. Czuło się we wszystkiem olbrzymi zwrot ku lepszemu, zapał dyrygenta, opery p. Czelańskiego, udzielał się także i wykonawcom. P. Czelański, to postać ogromnie sympatyczna. W oczach pali mu się olbrzymia miłość dla sztuki i zupełne oddanie się Tej, dla której wykołysał swą duszę... Twarz młoda, przypominająca nieco Chopina, a zwykle blada, w miejscach pięknych opery, okrywa się rumieńcem młodzieńczego zapału, a oczy nabierają fosforycznego blasku. Powiadają, że brak mu rutyny. Zgoda! Ale tej może nabrać za parę tygodni, po bliższem zżyciu się z tą różnorodną masą, jaką jest orkiestra, chóry i soliści. Możemy powinszować całem sercem wyboru p. Pawlikowskiemu.

Soliści wywiązali się ze swego zadania dobrze.

P. Myszuga czarował swoim aksamitnym głosem, w którym jednak coraz częściej odczuwać się daje forsa i zmęczenie. P. Korolewiczówna posiada głos o pięknym bardzo dźwięku w średnicy, ale tony wysokie są ostre, a gra sceniczna tej artystki jest mdła i bez wyrazu. Pan Szymański śpiewał bardzo pięknie, jak zwykle, a p. Paszkowski wykazał wiele rutyny i muzykalności. Z trójki debiutantów podobała nam się więcej p. Ruszkowska i p. Esten, niż pan Urich, pozbawiony wszelkich niezbędnych warunków na dobrego śpiewaka. P. Esten w rolach dramatycznych przyda się naszej operze.

* * *

W niedzielę odbył się koncert znanego już nam z kompozycyj fortepianowych, muzyka z Paryża, Zygmunta Stojowskiego. Już dawno nie spędziliśmy tak przyjemnie wieczoru, jak wtedy, słuchając tej gry eleganckiej, subtelnej, szlachetnej. P. Stojowski, to jednostka muzyczna, ogromnie indywidualna, głęboka, co odbija się tak samo na jego kompozycyach, jak i na grze fortepianowej. Sypie on z pod palców wiązanki misterne i koronkowe, tony, jak rój iskierek, skrzących się, rozlatujących się w powietrzu, stwarzających nastrój pełen poezyi i czaru. Ta misterność i koronkowość z utworów drobnych, j. n. Humoreski, stwarzała nieporównane cacka muzyczne.

Idealnie wprost odegrał p. Stojowski nokturn Chopina 4. f dur... Było to coś tak subtelnego i wymarzonego, że chwilami zapominało się o przestrzeni i czasie. W mazurkach jednak, w Etudzie a-moll i Liszcie zamało było werwy, siły i demoniczności.

Koncert niedzielny pozostawił po sobie cichy urok i jakiś jasny czar w duszach.

Z TEATRU.

Ach, te libretta! Nie wiedzieć, czy śmiać się z naiwności, jaka z nich przemawia, czy oburzać się na ich banalność. A przecież to tak ważna rzecz! Dobre libretto operowe, czy operetkowe — to pół sukcesu. Niestety, do ich pisania zabierają się zwykle ostatniorzędni pisarze, traktujące je ponadto po rzemieślniczemu. Publicysta „z firmą“ wstydzi się popracowania nad librettem. A przecież już Mickiewicz podczas pobytu we Włoszech myślał o napisaniu libretta operowego.

Pan radca German popełnił libretto do „Janka“ Żeleńskiego. Nie powiem, aby było gorszem od wielu innych — nie jest jednakowoż od nich lepszem. A szkoda, wielka szkoda; stokroć efektowniejszą, bardziej wzruszającą i przemawiającą do widza byłaby tragedya tego herszta rozbójniczych górali, gdyby jej opracowanie dostało się w inne ręce. Rażący rozdźwięk panuje między czarem, jaki rozlewa muzyka Żeleńskiego, a tem prozaicznem i tuzinkowem gadaniem. Wszak ogromnego nakładu poezyi zużyć trzeba, aby utrzymać słuchacza w iluzyi, iż słowa, wyśpiewywane na scenie, nie w formie zwykłej rozmowy mu bywają podawane, ale w pewnych, zgóry określonych projekcyach głosu. Natomiast wprost niemożliwą jest tu illuzya, kiedy ze sceny płyną wraz z dźwiękami o napięciu wysoce poetycznem, słowa wielce prozaiczne. Zostawmy realizm i prawdę życiową dramatowi — libretto operowe musi koniecznie być utkanem z subtelnej przędzy nastrojów poetycznych, jeśli nie ma być śmiesznem.

* * *

Publiczność, czytająca dzienniki, wymaga po każdej nowości sprawozdania. Ono opiniuje w sprawach teatralnych. Kiedy się w domu rozstrzyga pytanie: Pójść, czy nie pójść do teatru, na tę, lub ową sztukę? — najniezawodniejszym doradcą jest dziennik.

Inaczej czytelnicy pism peryodycznych, literackich Tu konieczną jest ocena głębsza, krytyka — nie streszczenie, zakończone notatkami co do gry artystów, wystawy sztuki, jej powodzenia.

Toteż obecnie wstrzymujemy się od sądzenia tak gry artystów, jak wystawienia sztuk. Ensamble nowego teatru — to zbiórka (jak to już gdzieś zauważono) sił różnorakiej wartości, pozbierana niemal z wszystkich większych scen polskich, hołdująca rozmaitym szkołom i stylom. Toteż niepodobna, aby ta rzesza, nie znająca dokładnie jeszcze ni właściwości terenu, na którym popisywać się będzie, ni charakteru gry i nawyczek osób współgrających, mogła dać już wyobrażenie skończonego i zestrojonego ensamblu. Toteż czas z wydaniem sądu, z krytyką. Poczekajmy, aż artyści się na nowej scenie zaaklimatyzują, aż się nawzajem poznają.

* * *

Publiczność opuszczała właśnie teatr po przedstawieniu „Spazmów modnych“ Bogusławskiego. Wmieszałem się w tłum i — przyznam się — podsłuchiwałem, jaki też sąd wydadzą nasi teatromani.

„Szkoda trzech guldenów“, dowodził jakiś gruby obywatel swej magnifice „nudy — kompletne nudy. Kto widział wystawiać stare farsy? Dość mamy tych starych dramatów. Grają Szekspira, Schillera — myślę sobie: kto głupi, niech idzie. Ale Bogusławski!...

Inny znowu (żółtodziub był, z tych, co przychodzą do teatru nie na to, aby patrzeć na scenę, ale przez lornetkę na piękne damy) oburzał się: „Ja temu Pawlikowskiemu nic dobrego nie wróżę. Gejsza — Lalka — Kontrolor wagonów — Szalone wesele —— to rozumię! — warto posłuchać! Wiesz: żaden porządny człowiek nie będzie chodził do teatru. Thorn w Colosseum się wzbogaci“.

O ile rozbawiony i rozradowany byłem w teatrze, o tyle posmutniałem, opuszczając go.

Co pomyślałem po takich słowach, tego nawet tutaj nie zdradzę.

* * *

Radca Berson „lwowski muzyk“, napisał muzyczkę do baśni Kasprowicza, w której wykazał kompletny brak talentu, oryginalności i myśli...

Ta huczna kantata końcowa na solo, orkiestrę i chór, robi wrażenie majaczenia muzycznego na jawie. Nie wiemy doprawdy, poco robią trąby tyle hałasu w uroczysku leśnem, chyba, że p. Berson chciał wystraszyć na zawsze piękne rusałki z tego miejsca.

Nasze kresy.

— Dom polski w Morawskiej Ostrawie. W dzisiejszym zeszycie „Tygodnika“, zamieszczamy podobiznę Domu Polskiego, wzniesionego przez ludność polską Morawskiej Ostrawy i poświęconego uroczyście w pierwszych dniach ubiegłego miesiąca. Zamieszczoną już swego czasu wiadomość o tej nowej strażnicy polskiego słowa i polskiej myśli na kresach, uzupełniamy kilku szczegółami, nadesłanemi nam uprzejmie przez p. Wacława Nacke-Nakęskiego, z Mor. Ostrawy.

Dom Polski jest przedsiębiorstwem finansowem głównie, ludzie jednak, którzy go zbudowali, mieli pozatem cele idealne: dostarczenia ludowi polskiemu, zamieszkującemu pogranicze morawsko-śląskie, ogniska, gdzieby się tenże mógł zgromadzać, oświecać i organizować. Inicyatorowie Domu Polskiego, zawiązali się w stowarzyszenie, pod nazwą Towarzystwa budowy Domu polskiego, w pierwszej połowie r. 1899 i stowarzyszenie to zostało zapisanem do rejestru stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, z poręką ograniczoną. Kapitał zbiera się drogą zakupywania udziałów po 20 koron i obecnie wynosi do 20.000 koron. Budowa Domu kosztuje około 190.000 koron. Resztę wydatków pokryto z pożyczki od miejscowego browaru, który dostarcza piwa do restauracyi i drugiej pożyczki wekslowej, która w tym jeszcze miesiącu będzie spłacona, przez pożyczkę hipoteczną, w kwocie 120.000 koron, unormowaną w stosunku 5% wartości całego domu, oszacowanego na 250.000 koron.

Inicyatorem budowy Domu jest dr. Wacław Seidl, lekarz w Niem. Lutyni na Śląsku austryackim, który obecnie przenosi się do Mor. Ostrawy i buduje tutaj zakład kąpielowy i kuracyjny, według najnowszych wymagań. Budowę wykonano według planów i pod kierunkiem pana Stanisława Bandrowskiego. architekta.

Obecnie prezesem Towarzystwa Domu Polskiego jest dr. Andrzej Knapczyk, lekarz z Bogumina. W Domu Polskim mieści się Koło morawsko-ostrawskie, Tow. Szkoły ludowej, pod kierunkiem którego pozostaje czytelnia czasopism, bezpłatna wypożyczalnia książek i szkoła dla analfabetów. Jest tu także stowarzyszenie „Czytelni polskiej“, czyli właściwie kasyno dla inteligencyi miejscowej i dla rzemieślników. W przyszłości znajdzie tu pomieszczenie filia Banku rolniczego z Frysztatu, czyli Kasa oszczędności. dalej redakcya projektowanej „Gazety Ostrawskiej“, biuro pośrednictwa pracy i t. p.

NADESŁANE.

Niezliczona ilość wyrobów spirytusowych krąży po naszych handlach i restauracjach, a jednak prawdziwie dobrych i dla zdrowia nieszkodliwych, gdyby się wzięło je przelać przez sito chemika, to wątpić należy czy i połowa z nich mogłoby się utrzymać, pod uznaniem „dobre“. Nie pragniemy bynajmniej tymi kilka słowy obniżyć wartości spirytusowych wyrobów znanych w naszym kraju, pierwszorzędnych fabryk, które za swoje wyroby uzyskały uznanie powszechne, niemal na wszystkich wystawach światowych, lecz staraniem naszem jest powiadomić szerszą P. T. publiczność o powstaniu nowej fabryki w Kozowej majątku hr. Szeliskiego, urządzonej według najnowszych wynalazków techniki. Hr. Szeliski nie oszczędził trudów i kosztów na udoskonalenie tejże, dlatego też pod względem urządzenia, nie ustępuje ona ani na krok najpierwszorzędniejszym fabrykom miast francuskich. — Wspomniana fabryka wyrabia wszystkie gatunki wódek i likierów z najczystszego spirytusu, a wyroby pochodzące z tejże fabryki, odznaczają się przepysznym smakiem, są zdrowe i pożywne. Wyroby pochodzące z fabryki w Kozowej uzyskały w bardzo krótkim czasie powszechne uznanie w całym kraju. Dlatego powinniśmy żądać wyrobów znanych ogólnie fabryk, a pomiędzy innemi z fabryki hr. Szeliskiego w Kozowej Wszystkie zamówienia miejscowe i zamiejscowe, wykonuje się szybko i rzetelnie ku zadowoleniu odbiorców. Powinniśmy mieć to także na oku, że fabryka ta jest krajowa, polska, a nie jakaś „niemiecka, lub chińska“.

Dyrektorem tej fabryki jest znany specjalista w tym zawodzie, Wilhelm Holender, który ją prowadzi wzorowo i sumiennie, na korzyść swego chlebodawcy.

ADWOKAT KRAJOWY

Dr. J. Morawiecki

zamieszkał we Lwowie przy ul. Akademickiej l. 5.

Dr. I. Baran

obrońca w sprawach karnych, otworzył biuro we Lwowie ul. Trzeciego Maja l. 21.

Dr. Zygmunt Leser

otworzył kancelaryę adwokacką we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 34.

Instytut dentystyczny

Lwów, Hetmańska l. 6.

składający się z kilku oddziałów, w których dentystki i dentyści lekarze wykonują: plombowanie według najnowszych zasad nauki, wyjmowanie zębów bez bolu, przy miejscowem znieczuleniu, lub też uśpieniu, obturatory przy wadach i brakach podniebienia, **wstawianie sztucznych zębów.**

Tamże leczy się choroby dziąseł i jamy ustnej.

Dla prowincyi zaprowadzono tę wygodę, że nadesłane i t. d. zęby sztuczne, reparuje i wysyła się odwrotną pocztą, bez osobistego przyjazdu. — Instytut otwarty przez cały dzień.

Dta L. Wiktor.

Kancelarya adwokacka

Dr. Rafała Bubera

przeniesiona na ulicę Trzeciego Maja L. 13 w parterze.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Wyborowe potrawy, dobre napoje poleca Sz. Publiczn. restauracya kolejowa Kobylańskiego w Skolem.

Apteka w Gródku poleca wszelkie środki lecznicze, specyficzne, dyetetyczne i uniwersalne, oraz kakao, herbatę rosyjską i wina.

Liban i Ehrenpreis w Podgórzu polecają swe kamieniołomy i pierwszą krajową fabrykę wapna. Ceny przystępne.

Welgan S., handel towarów korzennych, win i delikatesów w Gródku, pode Lwowem. poleca się P. T. Publiczności miejscowej i okolicznej.

W **Rzeszowie** poleca się handel towarów korzennych **Mieczysława Postępskiego**. Skład cukru, herbaty, rumu, handel win i likierów. **Pokój do śniadań.** Piwo pilzneńskie

Stanisław Gilowski w Jarosławiu, siodlarz i rymarz przy pl. Mickiewicza, poleca uprząż i rzędy na konie.

Zakład ogrodniczy

Uprasza się dokładnie baczyć na adres naszej firmy.

Antoniego Klimowicza i Syna

we Lwowie

Skład nasion i roślin, plac Halicki l. 14.

poleca — wszelkie rośliny dekoracyjne pokojowe jak: Palmy, Draceny, Ficusy, araucarie i t. p. — Bukiety ślubne i imieninowe w najpiękniejszym wykończeniu.— Wieńce pogrzebowe ze świeżych i suszonych kwiatów ze wstęgami lub bez — po jak najniższych cenach.

Wysprzedaje fonografy. Kupuje i sprzedaje wszelkie instrumenta muzyczne stanowczo po cenach umiarkowanych, tudzież **mienia rowery używane za fonografy** lub inne instrumenta muzyczne.

Litwinowicz

Lwów, ul. Batorego l. 32.

Jak długo zapas starczy

wysyłamy franco za zaliczką

5 kg. gruszek od 1·06 zł., jabłek od 96 ct., 5 kg. kuracyjnego miodu z leśnych ziół górskich po 3 zł. 40 ct.

Nadto każdą ilość jabłek gruszek, miodu, soku malinowego, konfitur.

WINO jabłkowe od 24 ct., gruszkowe od 30 ct. za litr. — SZAMPAN jabłkowy 1 zł. 50 ct. — WINA miodowo-owocowe.

upraszamy o łaskawe poparcie naszych dążności.

Spółka owocarska w Nadwórnie.

Stowarz. zarej. z ogr. poręką.

Artystycznie układane

Bukiety, Kosze, Wieńce

z świeżych kwiatów

poleca najtaniej

Zakład ogrodniczy

M. WOLIŃSKIEGO

we Lwowie, plac Maryacki l. 3.

Od dnia 23. września 1900 r. sprzedajemy

MLEKO DLA DZIECI

od krów postawionych na osobnej stajni w Przeworsku, przez weterynarza wybranych i zbadanych, u których stwierdzono za pomocą szczepienia brak perlicy (tuberkulozy). Krowl te postawiliśmy na odpowiedniej paszy. Stajnie oddane pod stały nadzór władzy sanitarnej.

Mleko to sprzedajemy tylko przy ul. Hetmańskiej 8 i przy placu Smolki 8. Dostawiamy je także do domów.

Zarząd Mleczarni Przeworskiej

ul. Hetmańska l. 8. Telefon Nr. 612.

1 zł. 25 ct. kosztuje tylko litrowa butelka najlepszej **Dereniówki** i **Ratafii** lub **Owocówki** niesłodzonej, wyrobu **Jana Muszyńskiego**

Dwie butelki na posyłkę 5-cio klg.

Lwów, Grodzickich 2.

Jako dobrą i pewną lokacyę
polecamy
4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.
Kantor wymiany
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
Banku hipotecznego.

Najwyborniejszych
½ klg. Cukrów deserowych 1 zł. 20 ct.
½ klg. herbatników 80 ct. do 1 zł.
oraz Czekoladę i Cacao
poleca codzień świeże
H. TRETER
parowa fabryka czekolady

Losy przegląda zupełnie bezpłatnie **kantor wymiany WIKTOR CHAJES i Spka**, Lwów, ulica Syktuska l. 8. Marka na odpowiedź. Losy na raty. Gdziekolwiek zastawione losy wykupuje się, dopłaca do pełnej wartości kursowej i te same losy odsprzedaje na dogodne raty miesięczne.

L. J. Malewski
we Lwowie, ul. Ormiańska l. 12.
poleca wyrabiane w swej fabryce
KORKI
do beczek i butelek
w lepszej jakości od zagranicznych, jakoteż drzewo korkowe, koła do mielenia jagieł, oraz podeszwy i koreczki damskie.

Najtańszy
Magazyn Towarów bławatnych
F. Korneckiego i Sp.
(Pasaż Hausmana)
poleca w wielkim wyborze
MATERYE NA SUKNIE
Płótna, Chiffony, Pledy i t. p.

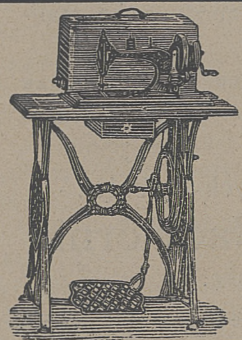
MLECZARNIĘ i doskonałą KUCHNIĘ Anny Lenard przy placu Akademickim l. 1. poleca się Szanownej P. T. Publiczności.
Przyjmuje abonament na śniadania, obiady i kolacye — tak w lokalu, jak i do domów. — Lokal otwarty przez cały dzień.

Zwraca się uwagę
Szan. Zarządów dóbr, klasztorów, folwarków, gorzelń, browarów, oraz większych zakładów przemysłowych, że
PYROLINY
najodpowiedniejszego środka do świecenia, którego stosunkowo do nafty o 50 prc. mniej wychodzi, przyczem nie kopci, daje jasne i spokojne światło i jest **bezpiecznem, bo niezapalnem**
polecają
FRIEDRICH i BEACOCK
Lwów, ul. Hetmańska 4.

Premjowanie
własnych zbiorów I. kl wina Heygelja — **Szamorodne**, a mianowicie: **stare kuracyjne TOKAJE** —ordynowane przez **najpierwsze** powagi lekarskie **wedle świadectw** — rozbierane w Paryżu przez pierwszych specyalistów z współdziałem przezacnego Pr. Gałęzowskiego, otrzymały najwyższe premie — zaszczycone używaniem przez Najdost. Arc. Salwatorów — Jego Ex. Arcyb Issakowicza — ś. p. exprezyd. Smolkę i u wybitnych osobistości są do nabycia u właścicielki
Anny Neupauer
we Lwowie
ul. **Kochanowskiego l. 6.**

Handel A. Hawełki
K r a k ó w
poleca towary kolonjalne, wszelkie delikatesy polskie, francuskie, angielskie, włoskie i amerykańskie.
Kompletne dostawy dla rautów, bankietów i wesel. — **Gabinety** dla zebrań towarzyskich.
Telegram: *Hawełka, Kraków.* — Telefon 330.

„Unio Catholica"
założone przed 13-tu laty przez J. Emin. Kardynała Ganglbauera, przyjmuje
ubezpieczenia we wszystkich działach asekuracyi.
Lwów, 3-go Maja 2.
W Czerniowcach Herrengasse 9.



Handel towarów żelaznych, metalowych i wyrobów nożowniczych.
KAROLA HAUSWALDA
w Stanisławowie
poleca główny skład maszyn do szycia poprawnych **SINGERA** i innych systemów pod gwarancyą po cenach przystępnych na raty miesięczne, za gotówkę 10% opustu, jakoteż kasy ogniotrwałe.

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO
dla handlu i przemysłu
ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro
(d a w n y l o k a l B a n k u k r e d y t o w e g o)
zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej.
Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Biura Związku gal. producentów
„R O P Y"
stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką
znajdują się
we Lwowie, ul. Chorążczyny l. 17.
(Dom naftowy) I piętro.

Poleca się HOTEL VICTORIA we Lwowie
ulica Hetmańska 8.
tuż przy stacyi kolei elektrycznej z komfortem urządzony.
Pokoje od 70 ct. począwszy.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.